BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 269

STANISŁAW WITKIEWICZ

WYBÓR PISM

TOM II

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA — 1939

WYBÓR PISM S. WITKIEWICZA:

Tom I — W promieniu zagadnień sztuki
Tom II — W okolu Tatr
Tom III — Listy

WYBORU DOKONAŁ K. KOSIŃSKI

W OKOLU TĄTR

Nr. 7a/39

Drukarnia „Antiqua", St. Szulc i S-ka, Kacza 7. Tel. 5.04-91.

WSTĘP

Minęło obecnie dziesięć lat od czasu ukazania się mojej monografii o Stanisławie Witkiewiczu [1]). Należy więc po tylu latach skorygować swój stosunek do niego, i sprawdzić, czy powiedziane o nim słowo nie stało się już fałszem. Tej metody trzymał się sam Witkiewicz: kiedy miał przystąpić do nowego wydania „Na przełęczy“, poddał gruntownej analizie i krytyce uprzedni swój stosunek do Tatr w „Po latach“, bojąc się, czy jego dawna o nich prawda nie przeżyła się w nowym pokoleniu. Pisał wtedy: „Ile razy myśl wypowiedzianą w pewnym czasie ma się na nowo po upływie lat ujawnić, należy wartość tej myśli sprawdzić i zbadać, czy ona jeszcze jest prawdą lub czy już może stała się fałszem. Należy sprawdzić, czy wrażenia, odebrane od pewnych zjawisk, były tylko złudzeniem chwilowych stanów psychicznych, czy też odbiciem wielkich i trwałych zjawisk życia w nieznanych, żywiołowych pierwiastkach ludzkiej duszy“.

Spójrzmy więc na Witkiewicza z tego punktu widzenia, co jest w nim żywotne dziś, co jest w nim niezmienne i trwałe, słowem, jakby wyglądał Witkiewicz przez nas uwspółcześniony.

Dawno minęły echa jego polemik estetycznych na tematy sztuki. Zmieniły się w tej dziedzinie poglądy i wyobrażenia, i Witkiewicz sam, gdyby żył, uległby dalszej ewolucji pojęć. Nieaktualny jest dzisiaj jego naturalizm w sztuce, jak nieaktualne są tezy z „Filozofii sztuki“ Hipolita Taine'a czy też „Estetyki“ Vérona. Sztuka poszukuje dzisiaj własnego świata; dziś

---

[1]) pt. Stanisław Witkiewicz, str. 542, Warszawa 1928 — Biblioteka Polska.

nawet teatr nie chce być na usługach życia i daje własną swoją rzeczywistość teatralną.

Nie byłby aktualny również pogląd Witkiewicza na rolę sztuki w Polsce. Za jego czasów była ona jedyną dziedziną, w której mógł się „wytłumaczyć“ duch polski, jakby powiedział Norwid. Dzisiaj możemy o sztuce polskiej mówić w skali ogólno-europejskiej wobec rozbudowy życia we własnym naszym odrodzonym państwie. Witkiewicz nie skąpił nigdy peanów na cześć życia i marzył o zmartwychwstaniu Polski. Nie ulega też wątpliwości, że byłby on jednym z pierwszych, który by pochylił czoło na widok faktu Gdyni lub Centralnego Okręgu Przemysłowego, jako ten, który czuł poezję rozmachu życia i tętna pracy.

Wiemy, jak dalece mylił się Witkiewicz w swoich wywodach na temat stylu zakopiańskiego widząc w nim dawny, ogólno-polski, wskrzeszony do życia styl, który miał świadczyć o odrębności naszej kultury w architekturze. Tymczasem Witkiewicz stał się jednym z pionierów regionalizmu Podhala, czego był sam nie przewidział stojąc w swoich wywodach na stanowisku ogólno-polskim.

Przeminęła również nowość jego wejrzenia w głąb Tatr, które z pustyni tatrzańskiej stały się wydeptanym szlakiem turystycznym, i nie pomogły jego wywody na temat ich pierwotnej dzikości i obrony przed cywilizacją, skoro kolejka na Kasprowy Wierch stała się faktem, ucywilizowało się Morskie Oko, a nowoczesne schroniska stały się hotelami w górach.

Inaczej przedstawia się dzisiaj w Polsce kwestia ludu, na którą patrzył Witkiewicz przez pryzmat ówczesnych stosunków z Sejmem krajowym galicyjskim i Parlamentem wiedeńskim.

Między Witkiewiczem a naszym dniem dzisiejszym dokonał się fakt na miarę tworzenia, o którym Witkiewicz próżno całe życie marzył — powstało mianowicie Państwo Polskie. Fakt ten stanowi granicę, poza którą zostało wielu wybitnych Polaków z czasu niewoli. Nieliczni tylko spośród nich mogli przejść tę granicę: Słowacki przekroczył ją w triumfalnym pochodzie przez Polskę odrodzoną, Witkiewicz jak cichy mickiewiczowski człowiek z Ksiąg Pielgrzymstwa.

Każdy pisarz, każdy twórca żyje w jakiejś współczesności i musi być w znacznej mierze aktualny. Ta aktualność odpada odeń następnie; nienaruszone zostaje tylko to, co jest w nim wieczne i ponadczasowe. Twórcy, którym tych elementów brak, w następstwie czasu giną. Witkiewicz sięgał do samych podstaw życia i duszy ludzkiej i może mówić o sobie: *non omnis moriar*.

Jego umiłowane Tatry stoją jak przed wiekami. Tak samo pokrywa je śnieg i milczą w oceanicznej grozie nocą przy blasku księżyca. Nie zmieniły się w Tatrach pory roku, które opisał, i nie pomniejszył się ich ogrom. Na świecie żyją ludzie, którzy cierpią, a nierówność społeczna stanowi nadal problem współczesny ludzkości. Jest niepodległa Polska, która dotąd nie rozwiązała problemu życia polskiego. Jest nędza i nie osłabił się w niczym witkiewiczowski problem *gandaryzmu*. Jest człowiek i jest życie, które domaga się nadal przemiany.

Polska stanowiła jeden z głównych jego problemów, do którego podchodził wielokrotnie i z różnych punktów widzenia. Polskość nie może się zagubić w ogromie prądów powszechnych i cywilizacji wszechludzkiej. Pion polskości stanowi indywidualność plemienna naszego narodu, który poza tym musi współczuć wszystkiemu co ludzkie. Naród musi mieć własną kulturę i „właściwą sobie formę życia", musi po prostu „żyć po swojemu". Zasadniczy pierwiastek rasowy narodu krystalizuje się w jego ideale społeczno-narodowym, który stanowi wypadkową jego kultury. Ideał ten może stać na wyżynach i może się kurczyć aż do ciemnoty. Naród ma elementarną energię życia, którą świadczy o sobie na drogach historii. Pisał Witkiewicz w szkicu pt. *Wallenrodyzm czy znikczemnienie:* „Można być bogatym, pracowitym, oszczędnym, będąc Niemcem, Francuzem czy Czechem, ale Polakiem można być tylko będąc Polakiem. Ażeby nim być, trzeba swojej duszy strzec od wszelkich kompromisów z tą siłą, która nas niszczy, trzeba być mężnym, wzniosłym i rozumnym ponad nędzą niewoli i *ponad pokusami zaprzedania i upodlenia polskiego sumienia dla jakichbądź celów.*"

O narodzie decydują: jego charakter i duch plemienny, jego właściwości rasowe, jego długowieczna kultura i warunki,

w których żył i działał, co wszystko razem daje opowieść „o starym dziadku". Czucie polskości nie ogranicza się jednak do ludzi, lecz obejmuje także przyrodę. Jak Chateaubriand widział geniusz chrześcijaństwa nawet w ruinach świątyń gotyckich na tle otaczającej je przyrody, tak Witkiewicz czuł polskość w przyrodzie „od traw i kwiatów łąkowych, od badyli burzanów do dębów zgruchotanych gromami, od szarego wróbla, grzebiącego na podwórku Wojtkowej chałupy, do potężnych żubrów, beczących w ciemnych ostępach puszczy", od morza do Tatr, od podwarszawskiej wsi do Zakopanego i chciał wydobyć polskość z chałupy, dworu, domu i pałacu, gdzie łączyłaby się „dawność" polska ze współczesnością na tle tego samego *rytmu życia*.

Tożsamość narodu widział on na przestrzeni jego historii aż do czasów dzisiejszych. Twierdzi, że w naszych oczach połyskuje ten sam ogień, który świecił w oczach przodków, w naszych ruchach powtarza się ten sam sprzed wieków rytm życia (Kossak). W ten sposób naród dostaje skrzydeł, z których jednym o przeszłość, drugim o przyszłość uderza, a wiąże je w teraźniejszości, za którą jest odpowiedzialny. To stanowi sprawę sumienia narodowego, żeby nie utracić nic z własnego rytmu życia, z odrębnej treści ducha, z mowy i kultury narodowej.

Ale kultura narodowa ma *trzon moralny*. Witkiewicz był idealistą, który na pierwsze miejsce w zagadnieniu narodu wysuwał jego imponderabilia jak Józef Piłsudski, z którym łączyła go dozgonna przyjaźń. Naród jest wartością moralną i nie może odstąpić od samego siebie. Witkiewicz rozumiał dogłębnie sens tragiczny wiersza Słowackiego: Szli krzycząc: Polska! Polska!... który kilkakrotnie cytował z pamięci i postawił go jako motto w szkicu pt. *Wallenrodyzm czy znikczemnienie*. Wyszedł on, jak Piłsudski, z r. 1863, który palił mu się w duszy ognistymi zgłoskami. Stanowił on dlań granicę w historii narodu, który zatracił wtedy obraz samego siebie. Upadek powstania wydobył na powierzchnię życia ludzi trzeźwych, którymi gardził Witkiewicz do głębi duszy. Jego zdaniem: „tylko wielkie, ciążące nad wie-

kami i pokoleniami idee utrzymują spójnię narodową. Z chwilą, w której się one rozwiewają, naród rozbija się na atomy". Tak było po r. 1863: zginęła wtedy Polska idealna. „Pozostali Polacy, ale Polski nie było i wtenczas to właśnie Bóg z Mojżeszowego ukazał się krzaka i przeraził je wszystkie spytawszy — a jaka? Nikt nie wiedział".

I dalej: „Ludzie znaleźli się w położeniu tłumu, który grzebie w pogorzelisku świątyni i znajduje jej okruchy, jej rumowiska, przepalone żużle, kupy popiołów i błota". Naród w owej dobie stał się tłumem, który pracował „organicznie" i „sadził rzepę" na polach historii, póki nie odrodził się w nowej męce i nie wydobył na powierzchnię życia nowych sił plemiennych w następnym pokoleniu. (Wall. czy zn.).

Mieć odwagę — było dewizą Witkiewicza w walce o polskość. Był on wrogiem rozpaczy, bezruchu i beznadziei z biernym znoszeniem losu. Ale naród do bohaterstwa trzeba wychować, ale z narodu trzeba wyeliminować ludzi pijanych miernością własnych dusz. Pisał Witkiewicz: „My musimy dążyć do tego, żeby na całym obszarze Polski i wszędzie, gdzie są Polacy. obowiązywały te same zasady, ta sama etyka i ta sama mądrość życia" (W. czy zn.).

Witkiewicz schodził w głąb duszy polskiej z ogniem miłości ojczyzny i szukał Polski żywej w każdym *indywidualnie*.

Witkiewicz, jak J. J. Rousseau, był wrogiem nierówności społecznej. Od stanu dusz uzależniał on rozwój ludzkości, który osiąga się przez kształcenie uczuć. Ani stronnictwa polityczne, ani bogactwa, ani znaczenie, ani stanowisko społeczne jednostki nie podnosi jej kultury uczuć. Każdy postęp musi być rozstrzygnięty w duszy człowieka *indywidualnie*. Dotychczas panuje nad ludzkością instynkt posiadania, co nazwała *Zośka Galicka* wszechwładną „mojością". Dotychczas panują w życiu sprzeczności i krzywdy społeczne. Lud nie pójdzie za wskazaniami z zewnątrz, wychowa się sam i podniesie na wyższy szczebel życia bez złud demokratycznych, które w nim widzą sól narodu. W stosun-

kach społecznych za mało bierze się pod uwagę duszę człowieka samego w sobie. Pisał Witkiewicz w „Po latach“: „Człowiek, człowiek! oto, co trzeba widzieć w chłopie i w panu, żeby stracić mrowstwo złudzeń i zyskać wiele nadziei. Traci się złudzenia, ponieważ wtenczas odpadają wszystkie arystokratyczne i demokratyczne uprzedzenia tłumów, a zyskuje się nadzieje, ponieważ widzi się iskry dobra, błyskające po wszystkich duszach, błyskające tymczasem jak błędne ogniki, ponieważ dusza jest to ta część człowieka, którą się właściwie ludzie prawie nie zajmują, która wśród gór chaosu zdarzeń, gór przeciwieństwa i mroków błędu i niepewności walczy o zdobycie świata, o przepromienienie życia“. Idzie tu o duszę pojętą „jako cała suma władz umysłu i czucia“, która musi być czynnikiem rozstrzygającym w życiu jednostki i ogółu.

Kiedy *Jędrek Cajka* stracił wzrok i stał się nieszczęśliwym kaleką, nie mógł pojąć dwóch zasadniczych faktów: doznanego na sobie miłosierdzia ludzi i nieszczęścia. Pierwsze dało mu dobrobyt po uprzedniej nędzy, drugie odebrało mu radość istnienia. Wtedy Jędrek Cajka wpadł duszą w otchłań rozpaczy i począł prężyć się w buncie przeciw Bogu, że mu odebrał wzrok i oberwał ręce, aby za nie zapłacić miłosierdziem ludzkim. Kiedy jednak uciszył się w głębi duszy cierpieniem i wywiódł się na jaśnię dnia, dojrzał oczyma duszy miłość, która może być siłą twórczą społeczną na rozłogach życia. Wtedy o ludziach rzekł z rozczuleniem: „ludzięta niebożęta“ i doznał wizji przemiany życia, które by dygotało od radości przez miłość. Uczuł natenczas tęsknotę, aby ludzkość do religii miłości doszła nie przez nieszczęście dopiero, nie przez cierpienia i ciosy. — *Kaby ino nie cekali jaze zwypalujom ocy* — i to było najgłębszą prawdą i najwznioślejszym marzeniem Witkiewicza!

Ten sam problem pogłębił się jeszcze w *Zośce Galicce,* która jest uosobieniem miłości. Najwyższą zasadą życia staje się tu przykazanie, ażeby ludzie byli — *jako trza,* o czym zadecydować może wyłącznie kultura uczuć jednostki, niezależnie od jej stanowiska w hierarchii życia.

W tym wszystkim idzie o jedno: o samą istotę duszy, o jej

najgłębszą treść podświadomą, o jej budowę niezniszczalną, co Witkiewicz nazywał *więźbą duszy*. W niedrukowanych listach do syna pisał, że więźba duszy stanowi jej rusztowanie wewnętrzne, które ma być proste i silne, aby się najmocniej trzymało w człowieku. Wszystko poza tym, cały zewnętrzny „wygląd“ człowieka stanowi jego ozdobę, którą niweczy czas i odmienia życie. „Ale więźba zasadnicza niech trwa i nie trzeba jej naruszać“. Stanowi ona podstawę charakteru i decyduje o kulturze jednostki. „Trzeba świadomie jej dopomagać do skrystalizowania się. Uczucia wpływają na pojęcia, ale pojęcia wywołują też uczucia — tą drogą ustala się wewnętrzna treść człowieka. W koncepcjach umysłowych sięgać w nieskończoność, w pojęciach społecznych iść do ostatnich krańców wcielenia bezgranicznej wszechmiłości — chrześcijaństwo i rycerskość w wielu razach się spotykają w ostatecznych skutkach, pierwsze przez pokorną miłość, drugie przez wspaniałomyślną dumę. Niech się ciebie nie czepiają żadne zacieśnienia kastowe, żadne uprzedzenia fachowe, żadne drobne egoizmy, jednostkowe ani klasowe“. Należy już teraz żyć przyszłością, obejmować wzrokiem duszy najdalsze horyzonty życia, należy „stać ciągle na wirchu“ i w młodym wieku szykować skrzydła do lotu poza teraźniejszość. Pisał Witkiewicz: „Chciałbym, żeby dusza dziecka była jak wrzesień. Jest to ten niepokonany optymizm ludzi czynu i myśli, która potrafi wyjść z gmatwaniny codziennych małych interesów. Strasznie bym chciał, żeby ta wewnętrzna więźba duszy dziecka była taka, jak ta bezbrzeżna jasność i pogoda, ta czystość i wzniosłość, która promienieje ze wszystkich horyzontów. Wpadają tu czasem wichry ze świata, zwalają się mgły, wdzierają się końce skrzydeł jakichś burz dalekich, a nazajutrz słońce wstaje w czystym, bezchmurnym niebie i zachodzi w bajecznej łunie, w drżącej zorzy... Chciałbym, żeby dziecko, nim je życie za kołnierz porwie, wybudowało tę treść wewnętrzną, ugruntowało ją i nie dało sobie jej wydrzeć, połamać, splamić i zszarzeć“.

To zagadnienie więźby duszy jest właściwie tylko kwestią indywidualnej konstrukcji moralnej jednostki, która jest częścią składową narodu, jak naród — ludzkości.

Witkiewicz sam był człowiekiem o mocno zbudowanej

więźbie duszy. W chłopięcym jeszcze wieku utrwalił w swojej duszy legendę powstania styczniowego; na dalekiej Syberii wypełnił duszę miłością do współwygnańców. Kiedy jako 17-letni młodzieniec wracał do kraju, pisał do rodziny w liście z 28 czerwca 1868 r.: „Chwała Bogu, że wasze święte rady i bieda, którąśmy wspólnie cierpieli, nauczyła mnie być pożytecznym o ile można drugim", co nie było w jego życiu frazesem. Następnie, jako młodziutki student Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, sam nieraz cierpiał nędzę, ale miał jeszcze wiele do oddania drugim. Jeżeli się martwił w tym czasie, to o to, że jak mu się zdawało, „tracił w sobie ogień sybirski". Wtedy pisał do jednego z przyjaciół: „Praca i wiedza to nasze jedyne teraz skarby", a za największe dary w życiu człowieka uważał *mądrość, serce i wolę*. Jakoż w tych trzech wartościach ześrodkował się był Witkiewicz na całe życie. W tym samym liście (z r. 1869) pisał dalej: „Wolę wyrobić można ogromnie; tysiące pokus, co nęcą nas tutaj na każdym kroku, tysiące powodów rozdrażnienia, namiętności i wad zwierzęcych przedstawiają pole do walki i wyrobienia charakteru. Lecz, by walczyć, trzeba w przód w sobie wyrobić pojęcie, do czego my teraz powinniśmy dążyć, jakie powinny być nasze cele, jak każda chwila powinna być użytą tylko dla tych celów, bo życie ludzkie w porównaniu do życia świata to mniej niż życie efemerydów, co w jednym mgnieniu żyją i umierają; jak wiec powinniśmy pracować, jak natężyć wszystkie siły, by spełnić to, co nam Przedwieczny przeznaczył!... Człowiek wtedy tylko żyje, kiedy pracuje tak, że jego praca niesie korzyść współludziom". Najistotniejszą treścią duszy Witkiewicza było więc uspołecznienie, była miłość, która niejednokrotnie przybierała wprost cechy franciszkańskie. Życiorys jego obfituje w cały szereg faktów tego rodzaju.

Z drugiej strony był to człowiek twardy. Twardy dla wszelkiej nieprawości i gaszenia dobrych uczuć w człowieku za jakąkolwiek cenę. Sam zdążał do ideału dobra i strzegł, jak skarbu, kultury uczuć. Tu był nieustępliwym i bezwzględnym uznając za fikcję złowrogą wszystko to, co pomniejszało człowieka. W wypowiadaniu sądów miał odwagę cywilną: nie uląkł się procesu o „Bagno" zakopiańskie, które piętnował, jak przedtem w pole-

mice o sztukę nie lękał się narazić opinii zwalczając jednostronny kult społeczeństwa dla Jana Matejki, którego wielkość sam najlepiej rozumiał i uzasadnił w swoich pismach. Naraził się wtedy opinii, skoro domagał się od dzieła sztuki wartości estetycznych, które stawiał wyżej od tematyki, co w owej dobie zdawało się być obniżeniem ideału sztuki w ogóle. Nie wahał się do końca życia głosić swych zasad demokratycznych, a w r. 1905 stanąć po stronie świata pracy i ogłosić we własnym imieniu *Wezwania,* które uległo dziś zapomnieniu, gdzie pisał co następuje: „W pierwszych szeregach walczących o prawa człowieczeństwa dla milionów ludzi i o istnienie polskiego narodu walczy polski lud robotniczy. Z męstwem i bezwzględnym poświęceniem oddał on wszystko, co ma: życie i pracę. Krwią jego zlane ulice Warszawy, Łodzi, Radomia, Lublina, Dąbrowy, Sosnowca, setki świeżych mogił wznosi się nad ciałami męczenników, a życie mas robotniczych ogarnęła straszliwa nędza“... i wezwał ogół do zbierania składek na robotników, przy czym pisał: „bądźmy wzniosłymi ludźmi, bądźmy jednolitym wielkim narodem, bądźmy Polską!“. Kiedy pod koniec życia przebywał w dalekiej Lowranie, chory, bez nadziei odzyskania zdrowia, i wtedy nie zerwał czucia z narodem: pogłębił swoją myśl społeczną aż do wezbranego bólu po upadku rewolucji 1905 r. stając w obronie godności ludzkiej, spychanej przez nędzę społeczną do śmietników życia. Myśli te wypełniły ostatnie jego dzieło pt. *Życie, etyka i rewolucja.* Droga jego myśli wiodła od klęski powstania przez walkę o nową sztukę w Polsce, o naród do walki o człowieka na każdym odcinku życia, aby w przededniu śmierci zwrócić się znów do Polski, wtedy już owianej wichrem wojny, oświeconej łuną pożarów i uwielbić Wodza legionów, którego nazwie „pierwszym żołnierzem polskim“. Ten pierwszy żołnierz polski, marszałek Józef Piłsudski, d. 22 maja 1924 r. powiedział w rozmowie ze mną o Stanisławie Witkiewiczu, że wzniósł się on na szczyty myśli polskiej i ogólno-ludzkiej w swym osamotnieniu przedzgonnym w Lowranie, gdzie przeszedł przez „klasztorne myślenie“, z dala od Polski, od ludzi, od przyjaciół. I dodał jeszcze, że miał dwóch przyjaciół w życiu: pierwszym był Bronisław Szwarce, dawny członek Rządu Narodowego z 1863 r., drugim

Stanisław Witkiewicz i że obydwóch cechował wzniosły optymizm czynu w bohaterskim porywie uczuć i wiary w naród.

Ale Witkiewicz był także wielkim pisarzem. Jego charakterystyki Matejki, Juliusza Kossaka, Aleksandra Gierymskiego i inn. nic nie straciły po latach z żywości opowiadania i plastyki; jego styl polemiczny może być dotychczas wzorem dla piszących; jego opisy Tatr porywają nas pięknem jak dawniej; jego opisy bitew pod Wiedniem, Kirchholmem czy Somosierrą są nadal arcydziełami; ustęp *O duchu narodowym* czy o pieśni *Jeszcze Polska nie zginęła* mają pierwotną swą sugestywność; ustęp o *Promethidionie* Norwida nie zstąpił z wyżyn prawdziwej sztuki; jego nowele z cyklu „Z Tatr" — Jędrek Cajka, Zośka Galicka i Wojtek Gandara zachowały obok głębi myśli świeżość i siłę wyrazu. Witkiewicz jako pisarz domaga się w dalszym ciągu zbiorowego wydania pism, czemu nie może zadośćuczynić choćby najstaranniejszy ich wybór.

Kiedy Witkiewicz umarł, śmierć jego odezwała się głośnym echem w prasie wszystkich odcieni pomimo szalejącej wtedy wielkiej wojny. Nawet w Petersburgu ukazał się o nim szereg artykułów w tamtejszych pismach polskich. Wychodzące wtedy w Piotrkowie *Wiadomości Polskie,* pismo poświęcone Legionom i sprawie odbudowy Polski, umieściły o Witkiewiczu najpierw krótki artykuł bezimienny [1]), a później dłuższe studium pióra Władysława Orkana. W artykule wstępnym pisały o nim Wiadomości, jako o człowieku wielkim „odkrywcy prac dla siebie i drugich, które zginąć nie mogą". A potem czytamy: „Kiedy zacznie się wielka odbudowa, kiedy zaczniemy szukać tajemniczych dźwigni do budowy wielkich, mocnych dusz, przyjdzie do nas z jego ducha pierwszy warunek, duchowa uczciwość. Ta uczciwość, która z tą samą surowością wpatruje się w siebie, w stosunek do ludzi, w sprawy codziennego życia, jak i w najdalsze sprawy sztuki i wzlotów duchowych i przez to, już przez to tylko odkrywa niezmiernie dalekie drogi czynowi jednostki."

Czasy te nadeszły...

K. K.

---

[1]) W Nr. 46 z 27 września 1915 r.

I

NA PRZEŁĘCZY.

(Ze wstępu pt. PO LATACH)

Przyroda tatrzańska

Tatry to nie są tylko skalne garby i rumowiska, zastygłe w martwocie. Ten świat ma swoją roślinność, która skuta z nim warunkami klimatu i gleby żyje według płodozmianu, którego człowiek nie zdołał jeszcze całkowicie naruszyć. Wyrębuje on wprawdzie całe zbocza regli, ogałaca te biodra Tatr z ciemnej przepaski smreków i buków, ale las z siłą fatalną odradza się, a własna zapobiegliwość zmusza człowieka do odsadzania nowych pokoleń leśnych. Ten las odrasta na razie szybko, i co rok długie bicze wirchowców jeżą się jak zielone świece na choince, ale w dalszych latach rozwoju smrek halny rośnie powoli i trzeba paruset lat, żeby się stał godnym być ścianą w boku chałupy, na dawny bohaterski sposób zawiązanej. Po niedosięgłych żlebach, po niedostępnych dolinach bytują jeszcze potężne postacie drzew, które wiekową walką wbiły zaciekłe korzenie w opokę i zagarnąwszy szerokim ich splotem ogromne przestrzenie ziemi pod siebie siedzą twardo i niewzruszenie, nie dając się potędze halnego wiatru ani naporowi przylatujących z zachodu naremnic.

W charakterze smreka jest jakiś układ archaiczny, jakiś hieratyzm dawnych posągów i obrazów, jakaś nieindywidualna zależność od siły zewnętrznej. Smrek jest smutny, senny, wyczekujący, jak gdyby nasłuchiwał, jak gdyby czegoś w milczeniu się spodziewał. Ma on jedną chwilę radosną, kiedy na ciemnych, obwisłych strzępach jego cetyny zakwitają purpurowe, pachnące, tryskające żywicą młode szyszki. Chwila to dziwna, w której smrek przypomina twarz zawsze smutną i ponurą, na której na mgnienie wybłyska uśmiech radosny i jasny. Smrek jest jak szary tłum ludu, w którym oko niewprawne nie dopatruje się osobowości jednostek. Ale kto żyje z ludem i ze smrekiem, ten wie ile indywidualnego charakteru i wyrazu kryje jednolity i jednokształtny na pozór tłum, ubrany w jednakie sukmany i jednaką zieleń cetyny.

Natura tatrzańska ma tak znamienne, tak subtelne przejawy istnienia, że jej życie dałoby się całkowicie wypowiedzieć kolejnym powstawaniem i zanikaniem kwiatów i liści.

Po martwocie zimowej życie wraca w Tatry z potężnym oddechem halnego wiatru. Wiosna prawdziwie tatrzańska robi wrażenie nagłego przybywania, gdzieś z południowych wysoczyzn nieba, jakiejś zaczarowanej siły, która w jednej chwili swoim tchnieniem budzi życie i barwi rudą, martwą ziemię cudownymi blaskami.

Nagle z opromienionej słońcem ziemi wykwita krokus przebijając białymi kiełkami brzegi zasp, zbitych na zboczach wschodnich przez wichry zimowe.



S. Witkiewicz — Kozice

W srebrnych promieniach wiosennego słońca załacza się w głębi biały gmach Tatr, mieniący się błękitem i fioletem, lśniący połyskami śreni i opalizujący w roztopionej bieli, niżej ciągną się lasy, siwiejące w resztkach zimowej saci, jeszcze niżej smreki wyprostowały konary, zgięte pod ciężarem okiści, i grają barwą wypłowiałych aksamitów, a polana na Toporowej Cyrli mieni się jak jakaś wyśniona makata, tkana ze złota i przetykana fioletowo-różowym kwiatem, połyskliwym, mieniącym się, drżącym, przezroczym i nikłym jak opar, świetnym jak słońce, załamane w dziwnych kryształach, świeżym jak rosa, przepysznym i skromnym, prostym i obfitym do nadmiaru, do szaleństwa. Nic równie dziwnego, zdumiewającego nie ma nasza ziemia nad ten rozkwit potężny i silny tak cudownie czułego i wrażliwego kwiatu, tuż obok trwającej jeszcze zimy, kwiatu, który kwitnie w straszne wiosenne kurniawy i zamyka się z trwogi przed najlżejszym przyćmieniem słońca, przed przyciszonym hukiem wczesnego grzmotu, a otwiera się niekiedy do człowieka jak do świetlnego promienia.

Polany płyną świetną, mieniącą się falą kwiatów, a na zboczach regli zakwita różowe wilcze łyko rozsiewając przenikliwy zapach, zmieszany z zapachem rozgrzanej ziemi, mchów zwiędłych, zeschłych traw i liści. To wiosna tatrzańska.

Potem po łąkach wysypują się gwiazdki ciemnoszafirowych gencjan, tak świetnych, że się zdają promieniować jak małe ogniki w rudawej jeszcze trawie; między dolomitowymi szarymi turnicami na małych upłazkach i zboczach, w szparach skał zakwita wiel-

ka i świetna gencjana acaulis obok cudownej prymuli żółtej, nie jak złoto, ale jakby samo żarzenie się zórz wieczornych, z liściem płowym, osypanym srebrzystym prochem i przejmującym, miłym zapachem. Szara skała, rude mchy, grudki czarnej próchnicy, a na tym bajeczny szafir gencjan i jasne złoto prymul stanowią niezrównaną harmonię barwną.

Na krajach lasów, na słonecznych polankach, między turniami i smrekami wykwita tak niesłychanie wyrafinowanego kształtu liliowa soldanella i łagodnie się odbija od bladożółtych kluczyków. Białe anemony i liliowe drobne kwiatki w cieniach barwią rude od przegniłego liścia zakątki; brzegami potoków i młak zapalają się jaskrawe zadry żółtego kaczeńca.

Te kwiaty wiosenne, nikłe wielkością, zdają się nie chcieć przyjść niepostrzeżone w przyziemnej nizinie i zginąć bez współczucia, zdają się swymi świetnymi i jasnymi barwami wołać i zatrzymywać myśl ludzką przy sobie.

Im wyżej wznosi się słońce, im dłużej świeci, tym więcej i coraz bogatszych form rozwija się w świecie tatrzańskich roślin, aż póki na drugim końcu lata jesienne kurniawy nie zasypią liliowych łąk orawic, pokrytych zimowitem, tak obfitym i tak podobnym do wiosennych krokusów.

Latem regle od wschodu do zachodu zdają się pokryte zbitą ławą ciemnych smreków. Ale z wiosną na pewnej wysokości zwija się fałdujący się po żlebach pas świetnej, złoto-zielonawej, młodej zieleni buków. Słońce, sypiące się z południa, roztapia zieleń smreków w jedną ciemną, przysłoniętą oparami powierzch-

nię miękkiego aksamitu, na którym złotawa zieleń buków drży, mieni się, świeci i błyszczy jak złoto i żółte topazy, w których odbity błękit nieba łamie się zielonawym odblaskiem. Jest to jedna z piękniejszych chwil w Tatrach, które niekiedy przysypane młodym śniegiem błyszczą w górze na tle ciemnego błękitu i zdają się ze swoją srebrną zimą być jakimś innym, „trzecim światem". Wtedy to pnąc się po wyniosłych, gładkich, srebrzystych pniach ciemnych jodeł i po gęstwi młodej smreczyny zakwita tatrzańska liana, klematis, góralski gośćcowiec, przerzucając z gałęzi na gałąź swoje długie, giętkie, powiewne smugi, na których się zapalają jak błędne ogniki blade kielichy liliowych kwiatów.

Życie coraz bujniejsze, bogatsze opanowuje Tatry. Zwarta gęstwa najrozmaitszych kwiatów zalewa rąbaniska, zapełnia żleby, opanowuje wykroty, rozpościera się brzegami potoków, wysypuje się na piargach, błyszczy w słońcu i tajemniczo przegląda z cieniów.

Wszędzie chwieją się miękkie kępy bujnej paproci, wznoszą się świeczniki różowego złotogłowu, zwisają ciemnofioletowe grona tojadu, świecą się w gęstwi białe, żółte i liliowe złocienie, ogromne pompony purpurowych ostów, rozwiane, chwiejne płatki wielkich bławatków, żółte kity rozwartych chciwie kielichów naparstnic, festony gencjan, bramujące brzegi lasów, białe gwiazdy rumianków, potężne łodygi i kuliste baldachimy litworu, wszystko to zmieszane, splątane, skłębione, zbija się w nieprzebytą, pachnącą, rosistą gęstwę, wybuchającą z zapadlisk ku słońcu. W dolinach wśród płowego owsa zakwita świetny różowy mieczyk,

purpurowe kity kipszyny, mieniące się turkusowo-fioletowe kępy wilczyńca i płynie miedzami żółty dzwonek, ziele dziwożon. Przykopy zapadłych młynków, długie strugi potoków toną w potężnej zieleni podbiałów, który zwartą ławą olbrzymich liści obsiada ich brzegi. Wysypuje się rój storczyków, od pospolitej kukułki, błyskającej z wiosną na młakach, do kulistych, bladoliliowych storczyków górskich i całego mnóstwa innych, napełniających powietrze silnym, odurzającym zapachem, aż do bajecznego trepka królewny. Po górnych halach roztacza się przepych żółtych lelui, złotych kozłowców na piargach, pod kosodrzewiną żółta, nakrapiana goryczka nęci ku sobie niedźwiedzia, a na brzegu topniejących resztek śniegów mak halny chwieje się białymi płatkami. Pachną zbocza malinami, czernią się mszarniki borówkami i fosforyzują smugami różowawych wrzosów, a w niskiej trawie świecą dziwne rozety dziewięciorników. Wszędzie bogactwo i siła życia, zdająca się spieszyć, aby spełnić swój czyn, zanim znowu jesienny podmuch halnego wiatru nie zapowie nadciągającej zimy. Stopniowo gaśnie barwny blask kwiatów, brunatnieją łodygi, zwijają się liście, zwarte i silne kępy rozpadają się omdlałe i taczają się zmięte, zgniecione, blade, żółte, pokryte ciemnymi plamami zgnilizny. Czerwienieje liść buków, czernieje zieleń jesionów i olszyn, i kiedy z poświstem i szumem zwala się groźna kurniawa, zasypuje śniegiem szafirowe przyziemne gencjany, żółte kluczyki i samotne soldanelle, które zwiedzione czarem jesieni biorą ją za wiosnę i zakwitają na nowo.

Wiatr zdziera czerwono-żółte liście z buków, za-

sypuje nimi potoki, tak że woda cichnie i ginie pod grubą warstwą starannie przez jej prąd ułożonego, rdzawo-żółtego pokładu.

Znowu roślinność zapada w martwotę, ale nie cała. Jest taki gatunek czujnej i wytrwałej wierzby, który wśród zimy osypuje się długimi ogonkami białych, wełnistych jak kłaczki waty kotków. Teraz na Tatry spada zima i życie ich staje się tylko grą światła i szamotaniem się wichrów, przesypujących tumany śniegu. Tak żyją, walczą, umierają i zmartwychwstają Tatry.

Zagadnienie ludu i hodowli człowieka

Jednym z pewników, których uczy historia, jest, że rozstrzygającym czynnikiem życia zbiorowego nie są formy urządzeń, instytucje, tylko jest stan dusz ludzkich danego społeczeństwa. Nic nie pomoże najdoskonalsza ustawa, najstaranniej obmyślany ustrój, jeżeli materiał ludzki jest lichy, jeżeli etyka i umysłowość jednostek, stanowiących społeczeństwo, stoją nisko. Rozprawy parlamentów, przebiegłe kombinacje polityków, wysiłki ministrów, wszystko to w dniu stanowczym okazuje się niczym, ponieważ poza tym nie ma dobrych obywateli. Przeklinane *Liberum Veto* Nietzsche uważa za jedne z najszczytniejszych objawów zbiorowego życia — i słusznie, tylko trzeba było, żeby go używali inni ludzie niż ówcześni obywatele Rzeczypospolitej.

Dla ludzi, którzy żyją z ludem tak jak my w Zakopanem na stopie rzeczywistej równości i wspólności,

która wydobywa na wierzch najistotniejsze pierwiastki dusz, powyższe wnioski stają się absolutnymi prawami, których siły dowodzi życie w każdym dniu powszednim.

Jeżeli do ludu nie przychodzi się ani z „przebaczenia anielską pogardą“ klas, wierzących w swoją wyższość, ani z demokratycznym uczuciem, chcącym się zaopiekować niedolą ludu; jeżeli się nie jest agitatorem na rzecz stronnictw demokratycznych ani na rzecz większej własności lub rządu, jeżeli się żyje z ludem w tym zbliżeniu i wzajemnym poszanowaniu, które ponad różnicami form pozwalają ujawnić się istotnej treści dusz ludzkich, to sprawa ludowa przedstawia się ogromnie inaczej niż z punktu haseł teoretycznych lub partyjnych dążeń.

Przede wszystkim lud, widziany z tego zbliżenia, przedstawia się jako całość, utrzymująca się tylko pod naciskiem warunków ekonomicznych, które jednak nie tworzą z ludu zbitej masy, zasadniczo, masowo różniącej się od reszty społeczeństwa — jak stado wróbli od orłów. Lud składają ludzie zupełnie tak samo różni między sobą indywidualnie jak we wszystkich innych klasach społecznych. To, co stanowi odrębność ludowego życia, to są, poza warunkami ekonomicznymi, pewne zewnętrzne normy stosunków, pewne formy obyczajowej kultury, pewne pojęcia umysłowe — które się przeciwstawiają podobnym zewnętrznym warunkom, określającym odrębność innych klas społeczeństwa. Dusza człowieka z ludu jest w gruncie identycznie taka sama jak dusza człowieka z arystokracji lub mieszczaństwa, o ile ono jest tego samego rasowego

pochodzenia. Wszyscy żyjemy pod przemocą i przewagą wielkich wymagań życia, wobec których różnice warstw, a nawet indywidualności najwybitniejszych jednostek są czymś stosunkowo nieznacznym. Człowiek z ludu oddany jest na pastwę tych samych pragnień i namiętności, tych samych nadziei i zwątpień, na pastwę tych samych niemiłosiernych, elementarnych praw bytu co ludzie innych warstw społecznych. Różni się on pojęciami — nie różni się uczuciami...

...Patrząc na wszystko, co się dzieje tu i gdzie indziej w obchodzeniu się ludzi z ludźmi, stawia się nieraz sobie pytanie: — Czy ludzie kiedy dojdą do tego, że roztoczą opiekę nad rasami ludzkimi, jak ją roztoczyli nad rasami zwierząt? Czy dojdą do tego, żeby wychowanie rasy ludzkiej oparło się z jednej strony na tych zasadach biologicznych, na których oparto wychowanie ras zwierzęcych, z drugiej na zasadach, wysnutych ze społecznych przeznaczeń ludzkości, przeznaczeń, których spełnienie jest ostatecznym kresem celów wychowawczych. Jak dotąd, rasa ludzka jest poniewierana i niszczona przez wszelkie czynniki, mogące wpływać na jej byt i rozwój. Tak zwane systemy wychowawcze i tak zwane systemy rządzenia wszystkie dotąd posługują się metodami, w których nie ma śladu pojmowania biologicznych czy społecznych potrzeb istnienia człowieka, a tym samym skutki ich przedstawiają się jako wpływy niszczące istnienie i rozwój ras ludzkich. A chociaż gdzieniegdzie powstają towarzystwa opieki nad ludźmi, nie mogą one funkcjonować tak sprawnie i skutecznie jak towarzystwa opieki nad zwierzętami, których działanie unormowane

jest prawnie a pożytek uznany bez zastrzeżeń. Członek takiego towarzystwa ukazawszy swój bilet policjantowi ma prawo zmusić woźnicę, żeby nie katował konia, żeby zrzucił z wozu nadmierny ciężar, ma prawo przeszkodzić dręczeniu ptaków, męczeniu ciągnionego do rzeźni za ogon wieprza lub cielęcia — ma prawo i jego rozkaz pod karą powinien być spełniony. Ale członek towarzystwa opieki nad ludźmi, gdyby przyszedł do szkoły i zażądał, żeby przestano dręczyć dzieci pięciu gramatykami, gdyby wszedł do warsztatu i zażądał rozpuszczenia zmęczonych robotników, gdyby podszedł do feldfebla, znęcającego się nad rekrutami i zażądał zaprzestania głupiej i okrutnej gimnastyki, żeby wszedł do propinacji i zażądał zniszczenia trucizny, którą truje się lud dla podniesienia dobrobytu społeczeństwa, bogactwa jednostek i dla utrzymania równowagi budżetu państwowego, gdyby tylko spróbował wejść między tryby kół społecznej maszyny, spróbował namaścić je współczuciem i słusznością, gdyby chciał zniszczyć jęk i zgrzyt ich tarcia — wszyscy wiemy, co by było, wszyscy czujemy, przy każdym drgnięciu takich uczuć i myśli, nieprzepartą ścianę bezwładu i bezmyślności społeczeństwa i czynny odpór „powołanych do strzeżenia porządku czynników"....

Opiekować się wolno tylko starzyzną i strzępami ludzkości; fundować i prowadzić składy zniszczonych istnień ludzkich, strzępów dusz i łachmanów ciała, składy skutków społecznego bezsensu i zbrodni — ale zapobiegać temu nie można, od tego są „czynniki miarodajne"...

Ile razy widzę ogrodnika, pochylonego nad grzę-

dami, obsypującego jedną roślinę, podlewającego drugą, podcinającego coś w trzeciej, wynoszącego inną na słońce lub chowającego jeszcze inną w cieniu i ciągle, stale, do nieskończoności zmieniającego indywidualnie warunki rozwoju dla każdego indywiduum roślinnego, a przynajmniej dla każdej grupy osobników sobie podobnych — tyle razy z przykrością myślę o tym, co się robi z istotą ludzką, jak się ją hoduje, jak przysposabia do zdobywania warunków istnienia i do spełnienia wyższych zadań bytu.

Rośliny nie kręcą za ucho, nie biją kantówką, nie łają, nie gromią, nie nazywają osłem, nie stawiają jej „pałki", ani nie obcinają przy egzaminie, jeżeli ona nie rośnie i nie rozwija się odpowiednio do zamierzonego przez hodowcę celu. Ale hodowla ludzi odbywa się inaczej.

Z jednej strony słuszne przekonanie, że każdy człowiek jest stworzony do pewnych, jednakich dla wszystkich przenaczeń, a tym samym w pewnym zakresie musi być przez wychowanie uzdolniony do spełnienia jednakich obowiązków i posiadania jednakich praw, z drugiej fatalne pojmowanie wolnej woli i odpowiedzialności, wydało te wszystkie sposoby hodowania ludzi w sposób wprost przeciwny niż się hoduje rośliny. Rasa ludzka hoduje się bez przystosowania środków hodowli do celów życia, bez uwzględniania różnic ras poszczególnych, grup jednakich indywiduów, już nie mówiąc o tym, że nikt nie bierze w rachubę szczególnych cech i właściwości indywiduów pojedyńczych. Dla rasy ludzkiej są jednakie formy dla wszystkich jednostek, formy jak na bułki lub leguminy,

w których się musi wypiec najdoskonalszy, według wyobrażenia państw i społeczeństw, chleb ludzki.

Gdyby hodowca roślin zmuszał palmy, różne, fiołki i ananasy róść i rozwijać się w warunkach kultury, potrzebnej dla sybirskiej rzepy, sądzę, że wszyscy uznaliby go za wariata — niemniej hodowla ludzi odbywa się w ten właśnie sposób. Podczas kiedy w hodowli zwierząt domowych stosuje się najtroskliwiej obmyślany i ściśle do celów życia przystosowany sposób postępowania, z ciągłym uwzględnieniem właściwości i przeznaczenia danych osobników, w hodowli ludzi nie ma o takiej staranności mowy. Nikt nie ściga się na perszeronach ani na koniach piwowarskich, jak nie zaprzęga do wozu z ciężarem pełnej krwi wyścigowca i nie używa do kręcenia kieratów arabskich źrebców. Wszyscy wiedzą, że byłby to nonsens, byłoby to niszczeniem ras, niszczeniem ich szczególnych przymiotów, przez które są właśnie pożyteczne — ale z ludźmi takich ceremonii się nie robi. Dla ludzi jest jeden system, właściwie dwa, lecz tylko jeden z nich jest tą doskonałą formą, której odcisk nadaje wyższą wartość ludzkiej istocie — to jest system klasyczny. Zdaje się, że państwa i społeczeństwa przygotowują dla bp. Grecji i Rzymu obywateli, którzy nie będą mieli ani żywej ojczyzny, ani żywego społeczeństwa, ani możności życia myślą i czuciem w tym świecie, do którego wychowanie ich przeznacza — dla tej prostej przyczyny, że świata tego nie ma, że on nie może już być w przyszłości — ponieważ już był... Cała ludzkość musi przejść przez system szkolny, przeznaczony do hodowania dyplomatów dla nieistniejących państw Grecji i Rzymu —

in partibus... Żadne cechy i przymioty rasowe, żadne przymioty indywidualne, żadne szczególne cele życia, żadne przeznaczenia nie mogą uchronić od matury z klasycyzmu. Ludzkość dzieli się na wyższy gatunek, ten, co skończył klasyczne gimnazja, i na „minderwerthige“, którzy ukończyli realne szkoły, nie mówiąc już o tych, którzy szkół nie skończyli i którzy jak śmiecie są zmiatani do kątów i zapiecków społecznego gmachu. Cóż więc dziwnego, że wobec tej ciemnoty nikomu nie przychodzi na myśl przyjrzeć się, poznać, ocenić i strzec od zaniku i rozwijać jakąś szczególną odmianę rasy ludzkiej.

Kiedy małpy zaczęły ginąć na Gibraltarze, Anglicy widząc, że tylko pięć magotów tańczy na skałach, najeżonych działami, sprowadzili z Afryki ten sam gatunek — dla podtrzymania rasy, ci sami jednak Anglicy przywiązywali setkami do armat i rozstrzeliwali na strzępy Indusów, chcących swoją rasę utrzymać w pełni życia i właściwych jej potrzeb rozwoju. Jest to potwornie rażący obraz nędzy i sprzeczności ludzkich stosunków — ma małą jednak skalę jest tak wszędzie.

Hodowla *czerwonego bydła* jest popierana usilnie, wszelkimi sposobami przez społeczeństwo, ale gdzie kto słyszał, żeby ludzie zaopiekowali się rasą ludzi, żeby uznawszy pewne jej przymioty za szczególnie dla zbiorowego bytu pożyteczne starali się je utrzymać i zapewnić im możność najswobodniejszego rozwoju i najzupełniejszego przejawienia się w czynie. Dla ludzi są normalne warunki wychowawcze, tępa, obmierzła rutyna, odpowiedzialność i mus życia, jako jedyne pobudki czynu i narzędzia kształtujące duszę.

Jednym z najrzadszych przejawów siły twórczej jest geniusz architektury. Na palcach możemy zliczyć style architektoniczne, będące nie kompilacją już byłych i zużytych pierwiastków sztuki, lecz będące istotnie, same przez się, światem form oryginalnych. Właściwie od gotyku był tylko jeden styl na tyle silny i oryginalny, że i to, co w nim tkwiło z innych pierwiastków, zostało z potęgą zgięte i nałamane do jego własnej istoty — to *rococo*. Poza tym wszystko jest kompilacją tych lub owych pierwiastków oryginalnych, kompilacją nieraz potężną, tworzoną przez geniuszy — niemniej kompilacją. Zmysł historyczny i eklektyzm XIX wieku wyraziły się w architekturze przeważnie powtarzaniem tego, co już było, i restaurowaniem tego, co z dawnych epok pozostało. Poza nielicznymi wyjątkami samodzielniejszej twórczości jedyną i potężną zdobyczą nowych czasów jest architektura żelazna, która jednak rozwiązawszy wszystkie zagadnienia konstrukcyjne, wynikające ze swego materiału, nie stopiła ich dostatecznie z oryginalnymi formami zdobniczymi, nie rozwiązała całkowicie idei architektury — łączności pierwiastków piękna i konstrukcji.

Wielcy wskrzesiciele ducha sztuki nowych czasów, Ruskin i Morris, wyszli z gotyku, w ogóle ze średniowiecza, a chociaż Morris wprowadził potem ogromną moc pierwiastków zdobniczych, wytworzonych z żywych form świata roślinnego — w architekturze jednak nie zdobył się na wytworzenie form oryginalnych. Ruch ten jednakże, raz rozpoczęty, szedł dalej co-

raz się rozszerzając i pogłębiając, obejmując umysły i poza Anglią, i w końcu doprowadził do przejawienia się oryginalnej myśli w architekturze, która pod nazwą stylu *secesji* jest w tej chwili w pełni rozwoju. Tym sposobem wiek XIX, który przeżył na nowo wszystkie dawne epoki architektury, zanim się skończył, zdołał bądź co bądź wytworzyć oryginalne formy architektoniczne, nadzwyczaj podatne do przeobrażenia się rozwojowego, których dalszy rozrost i wzmaganie się zależne już jest tylko od tego, czy się zjawią czy nie potężne talenty i wielkie indywidualności, które zechcą się tymi formami posługiwać.

Lecz style historyczne obejmowały wszędzie tylko życie pewnych warstw społecznych, nie wpływając wcale, lub w słabym tylko stopniu wpływając na charakter form zdobniczych w wielkich masach ludowych, które, jak były wskutek ustroju społecznego usunięte od czynnego udziału w życiu historycznym, tak samo były zamknięte w pewnych zacieśnionych granicach swojej, często bardzo starożytnej i pierwotnej kultury.

Pan i chłop, w miarę jak ustrój społeczny coraz bardziej ich różnił w prawach i obowiązkach, coraz bardziej też oddalali się od siebie pod względem kultury, aż w końcu nie zostało między nimi żadnych wspólnych form bytu. Ostateczny rozdział dróg kultury ludowej i pańskiej rozpoczął się u nas zapewne w epoce Kazimierzowskiej, epoce przebudowywania Polski drewnianej — na murowaną. Klasy wyższe: szlachta — *panowie rolni* i mieszczanie — *panowie handlowi,* przyjąwszy kulturę murowaną, poszli za ogólno-europejską cywilizacją przyjmując wszystkie występujące w niej

kolejno z biegiem czasu formy, klasa niższa — lud — pozostał przy starej kulturze drzewnej, która nie pozostała bez pewnego odbicia wpływów kultury „wyższego zagonu“, niemniej w zasadniczych swoich pierwiastkach, w istocie swojej dotrwała do naszych czasów i pod wpływem szczęśliwych zdarzeń odrodziła się wydając szczególne i żywotne formy sztuki i bardzo znamienne skutki społeczne.

Nad przepaścią, która przed wiekami otwarła się między „niższymi i wyższymi“ warstwami, wznosi się budowa, która na powrót obejmuje cały naród jednym dachem — jedną kulturą. To, o czym marzył Ruskin, co starał się urzeczywistnić Morris, tu się stało: biedny i bogaty zbliżają się do siebie w sferze wyższych potrzeb duszy, w sferze sztuki — nad chałupą i nad pałacem wznosi się jednaki szczyt, z którego sterczy w niebo, jak kwiat z wierzchołka góry — pazdur. Nie wyprowadzając stąd zbyt dalekich i zbyt optymistycznych wniosków dla rozwoju stosunków społecznych trzeba jednak przyznać, że taki wynik odrodzenia się dawnej kultury ma ogromne dodatnie znaczenie dla życia narodowego.

To co się stało w Zakopanem, jest z jednej strony ocaleniem od zagłady bardzo cennych pierwiastków starej polskiej kultury, z drugiej zaś jej odrodzeniem. Formy tej kultury wskutek gwałtownych zmian, jakie zachodziły w życiu ludu, ginęły przez podstawianie się na ich miejsce form obcych a przystosowanych do skomplikowanych wymagań nowoczesnego życia klas bagatszych. Zamiast przerabiać chatę chłopską na wygodny dom murowany, a dalej na zbytkowy pałac lub

kościół, zamiast przeobrażać konstrukcyjne i zdobnicze pierwiastki drzewnego budownictwa na składowe części budownictwa kamiennego i żelaznego — wznoszono po prostu gotowe, gdzie indziej przyjęte już pierwiastki więźby i piękna, nie tylko utrzymując nadal siebie w zużytej skorupie cudzoziemskiej, ale narzucając ją ludowi, zmuszając go swoimi wymaganiami i autorytetem do porzucania jego prastarej polskiej kultury. Szła też ona w ogień, na łom. Potężne, odwieczne, bogate sosręby heblowano, aby zrobić z nich pospolity kawałek drzewa w boku jakiejś pospolitej budowy, stare łyżniki rzucano w ogień, zaczynano się wstydzić tego *dziadostwa...* Te stare zabytki zostały ocalone od zagłady. Lecz nie pozostały one jedynie martwymi pamiątkami w szafach muzealnych, skorupami i konchami, wyrzuconymi na pusty brzeg przez fale czasu, przeciwnie, stały się one źródłem żywej myśli i czynu. Było to nie tylko ocalenie od zniszczenia, było to odrodzenie tej siły życia, która je przed wiekami wytworzyła. Przez szczęśliwy zbieg okoliczności w przełomowej chwili istnienia tej ludowej kultury znaleźli się ludzie, którzy spełnili względem niej wszystko to, co ją mogło ocalić i na nowo powołać do życia, do rozwoju. Jedni zabytki jej z pietyzmem i czcią gromadzili, inni badali ją teoretycznie, a inni znów tworzyli z jej materiału przystosowując jej formy do nowoczesnych i bardziej złożonych wymagań życia. Z jednej strony kultura ta ogarnia życie klas wyższych stawiając wszędzie, po całej Polsce, wielkie i okazałe domy i nadając sprzętom swoje formy zdobnicze — z drugiej zaś wraca ona na powrót do ludu już z tymi wyższymi formami rozwojo-

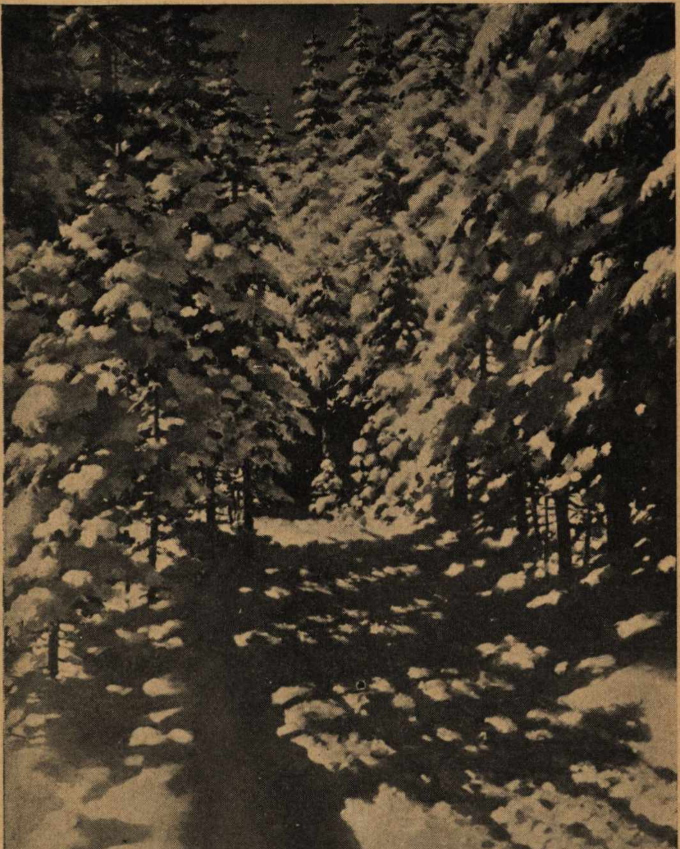
wymi i na całym Podhalu widać w budynkach, stawianych przez lud ten, przyrost i rozrost tego, co już było na krok od zguby.

To budownictwo i zdobnictwo, które na razie zdawały się jedynie cechą Podhala, z czasem, przy głębszych poszukiwaniach, okazały się powszechnym w całej Polsce zjawiskiem. U ludu podhalskiego były one jeszcze żywymi pierwiastkami bytu, gdzie indziej dotrwały jako zabytki, świadczące o powszechności niegdyś na obszarach Polski tych form artystycznych. I nie tylko w Polsce, na Rusi w starych cerkiewkach i chatach istnieją te same pierwiatski konstrukcyjne i zdobnicze, które również znalazły się na sprzętach żmudzkich. Idea samodzielnego stylu polskiego w budownictwie zyskała tym sposobem jeszcze silniejszą podstawę, a zarazem historia ciekawe i znamienne świadectwo wspólności cywilizacyjnej ludów, zamieszkujących obszary dawnej Rzeczypospolitej.

Zima w Tatrach

Zima przyszła.

Zima jest czymś, w czym tkwi bajeczna siła twórczości, a zarazem samoniszczenia, czymś, co się objawia w niezmierzonym bogactwie zjawisk, w fantastycznej mnogości form, w niewyczerpanej, niezgłębionej pomysłowości i do ostatnich szczytów arcydzieła doprowadzonej doskonałości wcielenia w materię tych pomysłów, tych błyskawicznych natchnień. Jej praca olbrzymia przejawia się raz w dziełach potężnych, w wypiętrzaniu gór nad przepaściami dolin, w nadawaniu in-



S. Witkiewicz — Pierwszy śnieg

nej formy rzeźbie ziemi, to znowu jest przędzeniem z najsubtelniejszej tkanki gwiaździstych kryształków. Jej siłą jest słońce i wiatr, a jej materiałem coś tak niepokalanie czystego jak spadłe z podniebnych wysoczyzn śnieżyste płatki. Praca ta jest przerabianiem diamentów w topazy, topazów w ametysty, szafiry i szmaragdy i na powrót w diamenty, roztapiane w czyste światło.

W zimnych, przejrzystych otchłaniach powietrza nieubłagana jej twórczość ma w sobie jakąś fantastyczną, zimną, prawie złośliwą zmienność, jakąś łatwość tworzenia, która czasem zdaje się siłą boską, czasem czarnoksięstwem lub kuglarstwem. Jej rozrzutność, lekkomyślność, wspaniałomyślność w tworzeniu i niszczeniu arcydzieł jest przerażającą wskutek absolutnej tej pracy bezcelowości. Jest to czysta, bezużyteczna, idealna rozkosz tworzenia — dla tworzenia, ciągłe materializowanie nagłych jak błyskawica pomysłów i niszczenie ich z błyskawiczną szybkością. Dla kogo to się naprawdę dzieje, kogo w istocie bawi i cieszy to coś, które przychodzi znikąd i ginie w niczym?...

Kurniawa. Między wiatrem, między pędzącym powietrzem a śniegiem nie ma rozdziału — nie wydaje się, że to wiatr niesie śnieg, tylko że leci jakaś biel, wyjąca i szumiąca. Przed oczami migają z zachodu na wschód pasma białych nici — to większe płatki, a z nimi leci pył — para śnieżna, leci, czepia się wszystkiego na drodze, spada na ziemię, na lasy, na dachy i znowu ze świstem porywa się i niesie się smugami rozszerzającymi się w górze i rozpylającymi się w białym tumanie. Wiatr rzeźbi. Niesie śnieg zbitą ławą,

wpada na chatę, na szopę, uderza się o nią, cofa się, rozmiata przed sobą długą i szeroką, półkolistą fosę i stoży nad nią coraz wyższą zaspę. Jej brzegi cudownie podwinięte zginają się jak łby wstrzymanych nagle rozpędzonych koni, jak grzbiety fal, mających się zwalić w zwojach piany. Jest to pochwycona i zmaterializowana cała logika wiatru, jest to siła i ruch, stężałe nagle i wcielone w bryłę materii. Wiatr leci dalej i kłębi rozpylonymi wydmami śniegu. Za płotami stoży olbrzymie zaspy, które długimi odkosami przecinają drogi i ogrody, nad potokami przelatuje równo ubijając gładką powierzchnię, której brzegi, popodwijane w cudowne gzymsy, zginają się białymi ślimacznicami nad ciemną wodą. Na dachach domów i szop wszędzie osadza się ta potężna rzeźba skrystalizowanego ruchu. Zmarzłe i rozniesione na pył głębiny mórz niosą się z zawrotną szybkością wdzierając się wszędzie, wypełniając wszystko, zasypują lasy, zawalają turnie, równają wąwozy, zatykają gardła pieczar, pochłaniają potoki i stawy i wszędzie rzeźbią z niezachwianą logiką ten sam kształt skamieniałej fali.

We dnie świat jest lecącą bielą — w nocy zdaje się, że szary mrok zmienił się w proch, w jakieś lekkie strzępy, i leci z szumem, świstem, jękiem i furkotaniem gwałtownym. Promień światła, wykradający się z małego okna, sięga daleko w tę ruchomą ćmę i wygląda jak kometa, zbłąkana w wirze zgasłych i zmielonych na lotny pył światów. Po nocy, w której nic nie widać, przychodzi dzień, w którym widać tylko śnieg, tylko biel, tylko te smugi, lecące z zachodu na wschód, tylko te piany roztrzepane w pył, w parę i tylko stożące się

coraz wyżej zaspy, tylko potężniejsze ślimacznice, zwinięte nad potokami, na zrębach skał, na strzechach dachów.

Wiatr cichnie, ale śnieg pada dalej, lekko niesiony wykańcza robotę kurniawy. Na lesie zawisa okiść coraz cięższa, coraz szczelniejsza. Ociężałe gałęzie obwisają coraz bliżej pnia, smreki stają się smuklejsze, spiczastsze, dolne konary przychwytuje i więzi stożący się coraz wyżej od ziemi garb śnieżny. Na małych polankach, na młodym lesie tworzą się dziwaczne szczyty indyjskich pagod i bizantyńskie kopuły z których jak krzyże sterczą śmigłe wirchowce. Gdzie indziej wyrastają potworne łby białe, wyciągają się ręce w białych rękawicach, tłoczą się jakieś białe cielska, zdaje się, że to jakaś rada przedwiecznych wielmożów brodatych, kołtuniastych zasiada w olbrzymich szubach z białych niedźwiedzi, krytych białym, przetykanym srebrem aksamitem. Na kominach zwisają olbrzymie czapy, a na każdej tyczce w płocie siedzi kołpak jednako schwiany ku wschodowi, po żerdziach wiją się długie, puszyste, białe węże. W widłach konarów jesionów osiadają potworne białe gniazda, gałęzie, oblepione śniegiem, rozpinają się w szarym powietrzu jak strzępy grubych, potarganych sieci, jak smugi pian, krążących po miotającej się fali; na kamieniach, sterczących z czarnej, snującej się cicho wody, wyrastają białe, wydęte kępy śnieżyste.

I tak trwa dni kilka, aż któregoś wieczoru śnieg spadający rzednie, staje się coraz suchszy, wyraźniej w nim widać kształtne gwiazdki kryształów — z szarej przędzy, wiszącej na niebie, zaczyna przecierać się złotawa poświata i lazurowy pobrzask — mróz tężeje.

Z zapadającym mrokiem w ciemni nieba migocą miękkie plamki światełek, gdzieniegdzie odsłania się mroczny aksamit i ostry, migotliwy promień gwiazdy przebija czerń nocy. W końcu nad majaczącym bielą światem rozpina się potężne sklepienie gwiaździste.

Mgła świetlista drogi mlecznej zawisa olbrzymią smugą jasności przez niebo, które drży, mieni się, skrzy się iskrami, zdającymi się sypać z ciemno-granatowego sklepienia jak pył promienny, jak śnieg nasiąkły światłem, zabranym z promieni słonecznych, błądzących w otchłaniach międzyplanetarnych. W tym nieobjętym liczbą nadmiarze świateł drgających, chwiejących się, mieniących się, tak różnych wielkością i natężeniem i tak do chaosu rozmaicie skupionych i rozproszonych, drga świetne ognisko Syriusza, błyskając czerwonym odblaskiem, rozpryskując swoje zmienne promienie z siłą, która zdaje się wstrząsać bezmiar suchym chrzęstem iskier elektrycznych. Wśród tego mrowiska świateł i światełek idzie on, niedościgły w swoim przepychu świetlnym, czysty, jasny, potężny — sam — panujący nad bezmiarami otchłani i nad miliardami palących się światów.

Całe niebo wieczorów letnich przesunęło się w inną stronę świata, a zapadająca noc zimowa zapala porankowe gwiazdy letnich nocy z wieczora.

Wega z zenitu zniżyła się ku północnemu widnokręgowi i drży jak potężny diament, wszyty w czerń lasów, pokrywających północne wzgórza. Przekręcona Niedźwiedzica wlecze za sobą po brzegach widnokręgu świetnego Arkturusa. Wśród tego nieba, przesuwającego się jednolicie w całym swym ogromie, kroczy

swymi drogami pyszny Jowisz i sypie bez drżenia swój spokojny blask srebrny, połyskujący na śniegach; w innej stronie nieba świeci czerwono Mars, a na zachodzie, schwiany ku południowi, majaczy blady płomień zodiakalnego światła.

Z całego tego, rozpryśniętego na iskry ogniska, sypie się blada poświata na doliny leżące pod śniegiem, na białe Tatry, na lasy przywalone okiścią, na wody migocące skradzionymi z nieba promieniami.

Oczy nie mogą oderwać się od tego nieba i nie mogą spocząć, błądząc od gwiazdy do gwiazdy, łącząc je i rozrywając, odkrywając coraz nowe, gubiąc już odkryte i znów je odnajdując, tonąc w miękkim pobrzasku drogi mlecznej i mrużąc się przed ostrymi iskrami Syriusza.

Do oczu przychodzi ten blask zza światów i ciągnie myśl pomiędzy te światy i poza nie — w bezdeń.

Dla tego, czyja myśl idzie w te otchłanie gwiaździste nie z rachunkiem lecz z wyobraźnią, nie mierzy tych bezmiarów ułamkami jakichś konwencjonalnych wartości, lecz idzie z wyobraźnią i przeciwstawia im siebie, to wplątanie się w gwiazd kołowroty jest niebezpieczną wędrówką. Im jaśniej się wyobrazi swój stosunek do tego czegoś — tym bliżej się jest szaleństwa.

Zwykle nie uświadamiamy, nie wyobrażamy sobie wcale naszego istotnego stosunku do nieba. To, że ono jest, że je widzimy nad głowami, robi takie wrażenie jak dach, jak powała, wrażenie przykrycia, bezpieczeństwa i zaciszności. Ale oderwawszy się myślą od ziemi i znalazłszy gdzieś poza nią w przestrzeni punkt idealny, z którego się ją widzi i siebie, wygiętego na

jej łuku nad otchłanią niewymierną, nad czymś, co póty jest, dopóki nie wymawiamy jego nazwy, dopóki nie staramy się tego pojąć, dopóki jest tylko czystym czuciem — nad nieskończonością — człowiek pojmuje nagle, że wszystkie jego wartości są zerem i wszystko, czym żyje, jest niczym, cała treść jego myśli wyparowuje w tę otchłań, a z pustki, która zostaje w duszy, wstaje zimne szaleństwo nicości.

Życie jednostki i życie ludzkości, to wszystko, czym mierzymy wartość naszego bytu: potęga, swoboda, miłość i nienawiść, nieśmiertelna sława, cnota i zbrodnia, twórczość, męczeństwo — najdłuższe okresy historii i okresy, które mierzymy epokami geologicznymi, nasze dziś i nasze wczoraj, i nasze jutro, nasz byt i niebyt — rzucone w tę otchłań przepadają bez śladu.

Myśl, przeciwstawiana tej otchłani czasu, temu bezmiarowi przestrzeni, temu ogromowi materii i tej potędze twórczej, wydaje się jakimś owadem, skaczącym od cyfry do cyfry, od spostrzeżenia do spostrzeżenia, od wniosku do wniosku — małym, nikłym owadem — nicością, skazaną na nicość. Ile razy też człowiek przeciwstawia się wszechświatowi myślą, tyle razy wydaje się sobie nieskończenie nędznym i małym, przeciwnie, przeciwstawiając się uczuciem, uczuciem bezwzględnym, jednolitym, wypełniającym całą istotę do dna, czuje się mu równym — lub odeń wyższym...

W taką gwiaździstą noc tatrzańską przeżywa się to wszystko, co przeżywali od narodzin duszy ludzie, kiedy oderwali oczy od ziemi i wznieśli je ku gwiazdom, i kiedy po raz pierwszy odczuli ten poryw ku

niedościgłym blaskom, to uświadomienie dali nieprzebytej, dzielącej chęć od możności — kiedy się narodziła tęsknota...

Ale noc się kończy. W zmarzłym powietrzu srebrzystego brzasku świeci czysta, promienna Wenus, a na topniejących mrokach niebieskiej kopuły gasną jedne po drugich gwiaździste płomyki. Perłowa jasność zalewa świat. Z nieba spada na śniegi i odbita od śniegów wraca do nieba napełniając świat beznadziejnie trzeźwą jasnością, która wkracza wszędzie, ukazuje wszystko, wszystko mówi, rozprasza wszelkie złudzenia i tajemnice.

Nagle drgnął promień na wschodzie, a za nim gwałtownie wybucha słońce.

W tym prześwietlonym do ostatniego półtonu białym świecie blask słońca na szczytach wydaje się czymś ciężkim, rdzawym i kiedy cienie Tatr szybko opadają w dół ze wzgórzy Gubałówki, zdają się one rozżarzoną bryłą, wiszącą w nikłym przezroczu powietrznym.

Niskie zimowe słońce przesuwa się poza górami, stojącymi w nie splamionej niczym bieli, jasnymi od świateł, odbitych z dna dolin, ciemnymi tam, gdzie ich cień granatowy pada na sąsiednie ściany i zbocza i styka się z płomienistym blaskiem skrzącej się bieli śniegowej. Niebo ciemne u zenitu, na północnej stronie przechodzi prawie w zieleń seledynową, tak przejrzystą jak szyba szkła, za którą się pali bajecznej czystości ognisko.

Słońce czepia się szczerbatej, białej grani Tatr, ślizga się przez przełęcze, wdziera się w wąwozy, sypie się po zwałach okiści, skrzy się w wodach potoków, ła-

mie się w soplach wodospadów — drży, mieni się, błyszczy, szaleje — ślepi. Z całego świata wstaje siła rzeźwa i promienna, radość przepojona blaskiem, czystość niepokalana, nadzieja niezmącona. Świat zdaje się dochodzić kresów rozwoju i zatrzymywać się u szczytu doskonałości, która już się nie przeobraża, nie niszczy się, nie wywołuje nędz i dramatów istnienia, nie wydaje brudu, rozpadu, gnicia.

Ale poza tym cudem są ludzie, którym zimno...

Słońce prędko kończy swój dzień i staczając się za zachodni zrąb Tatr zapala łunę czerwoną na śniegach. Szczyty żarzą się przez chwilę, wyrąbane ostro na tle nieba, a gdy łuna gaśnie, trupia, smutna bladość roztacza się po nich. Lecz po chwili znów się zapala na wirchach świetny różowy pobrzask, a na tle ciemnego nieba, które ogarnia mrok wieczoru, zapala się gwiazda jedna, druga — zapalają się miliony... Znowu noc gwiaździsta ogarnia tajemnicze, mroźne otchłanie powietrza.

I idą jedne za drugimi, takie dnie szalejące blaskiem, i takie noce zasypane gwiazdami...

Noc zimowa w Tatrach jest jednym z najdziwniejszych zjawisk, jakie oglądają oczy, i najdziwniejszych wrażeń, jakich doznaje dusza.

Po nocy promiennej przychodzi dzień świetlisty. Słońce w południowych godzinach stapia powierzchnię śniegu, która zamarza w nocy tworząc *śreń*, skorupę, po której można iść bez zapadnięcia się i która w końcu pokrywa się lodowym szkliwem. Na graniach, na wygładzonych przez śniegi przełęczach, na połogich

szczytach zaczyna połyskiwać jak polerowany metal ta powłoka śreni zmieniając Tatry w mur ze srebra, nabijany szafirami, turkusami i ametystami.

I znowu po dniach do zdumienia jasnych przychodzą dnie szare, po świetlistych nocach głuche, czarne, gęste i rozpaczliwe mroki. Wracają kurniawy, zadymki i śnieżyce, zwalając coraz potężniejsze garby śniegu, stłaczając go i ubijając po dolinach, zasuwając żleby, wypiętrzając na przełęczach. Zima trwa z uporem biernego bezwładu i pracuje ze zmiennością i zapamiętaniem szaleńca.

Aż jednego dnia zza zrębu Tatr zaczynają ukazywać się kłębki białych obłoczków, lecących szybko i roztapiających się w słońcu. Nagle od regli przeciąga gorące, duszne tchnienie, jedno — drugie — znowu cisza — znowu gwałtowniejszy gorący oddech, las pochylił się jak łan zboża, jękły ściany i dachy chałup, żałośne wycie zaskomliło u węgła, ponury, potężny szum, jak szum fali morza, zerwał się z targniętych gwałtownie koron jesionów — to wiatr halny, wróg zimy i zwiastun wiosny.

Ponad Giewontem kłębi się potężny wał chmur sypiąc się z rozpaczliwym musem w mroczną głąb dolin, księżyc poza lecącymi mgłami błyska, ginie, majaczeje światłem i mrokiem; w rozdartych kłębowiskach chmur, na czarnym błękicie nieba drgają przerażone gwiazdy. Ruchomy mrok kotłuje się w reglach i z cieniem chmur przelatuje po śniegu, leżącym ociężale w świetle przymglonym półcieniami fioletowej gazy. Gdzieś skrzy się potok blaskami księżyca i para smreków, targana burzą, gnie się, szarpie się, słania się do

ziemi, targa się i szamoce w rozpaczliwej niemocy. Ze śniegu, topniejącego pod dusznym, gorącym tchem wiatru, nie zrywa się żaden pył zadymki, tylko z drgającej pozłotą fali potoku wylatują jak płomienie strzępy porwanej przez wiatr wody, rozpylanej w mrokach przelatujących cieni. Chwilami z tego nawału burzy wydziera się jak zgrzyt namiętnej złości jakiś osobny, wściekły, kręty, wirowaty podmuch, ciska się w las i z nieprzytomną pasją łamie smreki, walące się tysiącami z trzaskiem karabinowego ognia.

Wał chmur bez przerwy wali się łbem na dół przez Tatry, nad nim szarpią się i ulatują gwałtownie w górę jego strzępy porywając promienie księżyca. Przelatujące chmury odsłaniają świat, srebrzący się w śnieżnej bieli, porozrywanej żałobnymi plamami czarnych, odartych z okiści lasów. Poświsty, wycia, szum smreków, ryk jesionów, huk zasp, spadających z dachów, wszystko zlewa się w olbrzymi ryk oceanu, szturmującego skaliste twierdze lądów.

A kiedy wstające słońce wyjrzy gdzieś zza Spiskiej turni, w jego blaskach widać ogromne płaty rudej ziemi, widać odkryte stoki południowe i podarte płachty zimy w dolinach i poza północnymi zboczami, widać las zgruchotany, zawalający drogi, zasypany gałęziami i cetyną, która pachnie jak wianki żałobne pogrzebów.

Wściekłe zęby wichru potargały zimę na strzępy, ale tylko w dolinie, bo na Tatrach jeszcze leży pokrowiec śniegowy, gdzieniegdzie tylko rozpruty przez ostry zrąb grani i iglice wirchów.

Ale zima się nie poddaje, przychodzą nowe kur-

niawy, mróz dobywa rozpaczliwych sił i skuwa na powrót powierzchnię śniegu. Znowu świat biały jak z jednej bryły śnieżystej. I ta walka wiosny z zimą trwa w maju, trwa jeszcze w czerwcu, w którym niekiedy zwalają się śniegi potworne. Spada na nie ciepły deszcz z burzą i wszystko razem, jak w dniach potopu, niesie się łożyskami wód w dolinę rozszarpując ją potworną, spienioną, rudą falą, niosącą potężne wanty, smreki i jedle i wstrząsającą przestwór ogłuszającym hukiem.

Tak rodzi się, żyje, pracuje, tworzy i kona tatrzańska zima. Ona to jeszcze długo będzie bronić Tatry przed zalewem pospolitości i powszedniości.

II

Z NA PRZEŁĘCZY (1891)

Baca

Wnętrze Tatr jest puste i bezludne. Tylko przez dwa lub trzy miesiące w roku pasą się tam stada owiec, krów i wołów, strzeżonych przez pasterzy, którzy koczują w halach.

Zamknięci za skalnymi progami, przez większą część lata ukryci w chmurach, prani deszczem, śniegiem, osypywani gradem, ogłuszani piorunami, zupełnie na woli surowej natury, ledwo osłonieni dziurawym dachem i ścianami przeświecającymi na przestrzał, żyją oni życiem twardym i dzikim, pasterskim życiem koczowniczych plemion.

Wszystko to jest tak różne od tego, do czego my, ludzie z dolin, przywykliśmy, iż trudno się oprzeć wrażeniu, że się patrzy na jakąś resztkę zanikłego świata, jakiś szczątkowy objaw archaicznych, niegdyś powszechnych stosunków i warunków bytu.

Kiedy już doliny zielenią się trawami i zbożami, przeginą śniegi w górach i zima wygląda tylko z ciemnych kominów i żlebów, wybierają się pasterze z „dziedzin“, ze wsi na hale.

Płowe niebo wiosenne rozpina się ponad światem, ciepły wiatr przeciąga zza wirchów; brzegi potoków

świecą się stokrótkami, dzwonkami, lśnią się jaskrem i gwiazdami podbiela; potoki pozdzierały i uniosły zawalające ich dna bryły lodowe; budzą się też owczarze ze snu i odrętwienia zimowego. Jałówki i owce beczą i pozierają ku halom, a niestrzeżone uciekają z szopy w wirchy, między turnie, na zielone upłazki, na których wysypują się trawy i kwiaty.

W dniu umówionym wszyscy gazdowie spędzają swoje owce na jedno miejsce, liczą je z bacą i zdają mu na jego odpowiedzialność.

Baca kropi owce święconą wodą, robi krzyż ciupagą na drodze i cały kierdel z bekiem i brzękiem dzwonków, z naszczekiwaniem psów wędruje kamienistymi drogami przez lasy ciemne, przez wirchy i jary, brnąc przez potoki coraz wyżej do szałasów na halach.

Białe, zbite stado pstrzy się gdzieniegdzie plamami czarnych baranków; jeżą się rogi pokręcone, kiwają się garbate nosy, otoczone ogromnymi kudłami na skroniach, podbródku i na łbie. Oczy świecą się zielono wśród mroku leśnego, pod oczyma czarne lub rudawe obwódki. Przednie nogi pokryte gładką krótką sierścią; na zadnich kręcona i gęsta wełna sięga do samego kopyta. Tryki, mniejsze od owiec, niosą na zgrabnych, garbatych łbach wielkie, wywinięte na boki, żłobkowane rogi.

Idą krowy łaciaste jęcząc ogromnymi miedzianymi dzwonkami, wiszącymi u podbródka; konie niosą na grzbiecie przyczepione do terlic rozmaite statki, graty i kotły mleczarskie.

Stary baca, sam z twarzą owczą, z długimi krę-

conymi włosami, idzie spięty pasem szerokim jak gorset, świecącym, nabitymi guzikami i wielkimi mosiężnymi klamrami; przy nim bieży pies biały, kudłaty. Juhasi w czarnych, moczonych w tłuszczu koszulach, w kapeluszach lśniących jak cerata od tłuszczu i brudu, w starych, zrudziałych od słoty i dymu ognisk cuhach i portkach odartych, z ogromnymi, pasiastymi torbami wełnianymi, których długie na łokieć frędzle dyndają się im u kolan. Juhaski w pomarańczowych chustach, w czerwonych płachtach lub serdakach obcisłych na piersi, w granatowych spódnicach; nogi ich obwinięte białą szmatą do pół goleni i obwiązane czarną krajką, przytrzymującą kierpce.

Cała ta pstra czereda, obwiana parami oddechów stada, drze się w jędrnym i czystym powietrzu, oblana słońcem, wesoła i budząca swymi śpiewami, piskiem piszczałek, dudnieniem kobzy echa drzemiące w wąwozach i wnętrzach gór.

Można sobie wyobrazić jak tym ludziom, którzy całą zimę przesiedzieli bezczynnie w brudnych, cuchnących izbach, których twarze zbladły i zzieleniały od lichego życia i braku powietrza — można sobie wyobrazić, jak im pachnie powiew hal, jak im się śmieje to słońce, błyszczące w rosie na trawach, jak im gra wieczna muzyka wód żywych i czystych.

Na koniec, przebrnąwszy moc potoków, przeszedłszy tyle gór, wydostali się ponad lasy i oto wchodzą na halę.

Szałas, zostawiony jesienią na woli wichrów halnych i wszelkiego złego, stoi z oddartym dachem. Czarne, zakopcone wnętrze, zasypywane śniegiem, zieje

wilgocią i stęchlizną; przeszłoroczny popiół i węgle z watry, z ogniska, zmieszały się w jakieś brudne błoto. Kto wie, kto tu zaglądał? Ile razy niedźwiedź pasąc się na szałasisku zazierał swoim czarnym ślepkiem przez szpary; jacy tu źli ludzie albo też samo „złe“ siadywało w tej pustce! Toteż baca wchodząc do pustego szałasu mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“.

W ogóle całe to pasterstwo otoczone jest mnóstwem zwyczajów, noszących charakter tajemniczego obrządku.

Kiedy już zagnali owce do *strągi*, zagrody, baca bierze żarzące węgle, sypie na nie święcone ziele i żywicę, odkrywa głowę, żegna się i milcząc okadza strągę trzy razy od zachodu na wschód, następnie wysypuje węgle przed strągą i z juhasami na klęczkach odmawia modlitwy. Przy dojeniu owiec, przy przecedzaniu mleka, przy robieniu sera odbywają się różne praktyki i nabożeństwa.

Wreszcie dach naprawiony, w dołku przy drzwiach *watra* chwieje się czerwonym płomykiem, dym napełnia czarne poddasze, po kątach stoją statki, na ścianach wiszą płachty, szmaty, torby i cuhy, całe to ubogie gospodarstwo, dające się zwinąć w pół godziny i przenieść na grzbiecie jednego konia i kilku ludzi, rozkłada się na paromiesięczne koczowisko.

We trzy dni po przyjściu stad na hale zjawiają się gazdowie, właściciele owiec, i idą z juhasami na cały dzień na pastwiska dla przekonania się, jaką jest pasza i jaki udój, nazywa się to — przyjść do *miru*. Kiedy owce przypędzą do dojenia, każdy gazda wydoiw-

szy swoje do *giełety* bierze dwa jednakiej miary patyki i na nich nacina znak, jak wysoko sięgało mleko w gielecie. Jeden patyk zabiera z sobą, drugi zostawia u bacy. Na jesieni, gdy owce wrócą do *dziedziny*, patyk ten służy do porachunku z bacą. Ile tygodni owce były w halach, tyle razy napełniają gieletę wodą na wysokość miary oznaczonej na patyku — wodę tę ważą: ile w niej funtów, tyle funtów sera ma baca oddać właścicielowi owiec. Sposób kontrolowania jakkolwiek pierwotny — jest jednak dosyć skomplikowany.

Baca jest panem z ojcowską władzą na szałasie; jest on tak jak i juhasi płatny serkami, przy czym gazda dostaje mniej więcej jedną trzecią, a pasterze dwie pozostałe części całego letniego zysku.

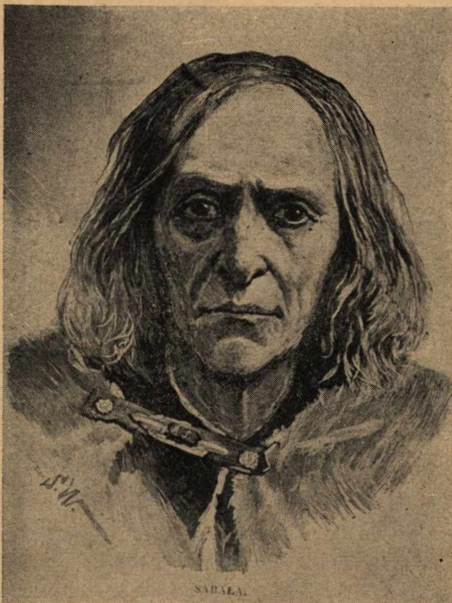
Juhas

Na szczycie nagiego wirchu, objęty zewsząd bezmiarami powietrza, stoi młody juhas. Opuścił się w wielkim pasie i podparł się na ciupadze. Pod nim owce, przyczepione do upłazków i zboczy, skubią trawę — pies drzemie spokojnie na słońcu.

W powietrzu cichy, nieustanny szept, jakieś gwary, wołania tajemnicze i jęki; stąpania ciche i ostrożne i wielkie szmery, jak gdyby się zbliżała jakaś niewidzialna, skrzydlata jazda. To woda tak gada.

Wszystkie potoczki i potoki, siklawy, wodospady i wywierzyska mieszają swoje głosy, przełamują je echami o ściany turni, uderzają o drzewa lasów i zdradnie się śmieją i wabią człowieka.

Nieraz myśliwiec albo pasterz poszedł za głosem,



S. Witkiewicz — Sabała

Z ilustracji do „Na Przełęczy"

który był tylko chichotaniem kaskady, lecącym z podmuchem wiatru.

Tam, na południe, pod słońce, rozpylone w blaskach widnieją wielkie Tatry, za nimi równiny węgierskie majaczeją w dali, zalanej światłem. Ku północy niebo czyste, opadając na widnokrąg, staje się tak bladym i nikłym, że się wydaje jak gdyby na przestrzał można było ujrzeć przez nie świat „tamten". Spodem fioletowe opary leżą na Beskidzie i wielka kopa Babiej Góry błyszczy śniegową łysiną. Na wschód można dojrzeć czorsztyńskich zamków, a na zachodzie, za Orawicą, szerokimi, ciemnymi wirchami ziemia podpiera niebo.

Owczarz na dolinach, stojący w równym polu, wśród tysiącznego stada, z psem mądrym jak człowiek, który na każde świśnienie wyprawia z owczym tłumem dziwne manewry, ma dużo czasu do kontemplacyjnych rozmyślań i obserwacji natury. Nic też dziwnego, że ludziom, ciągle zgiętym w pałąk w ciężkiej pracy nad ziemią, wydaje się zagadkowym ten człowiek, którego nieruchomą sylwetkę widzą całymi dniami ponad widnokręgiem.

Tu życie owczarza nie jest tak kontemplacyjne. Pasienie po takich urwiskach, trzykrotne spędzanie do dojenia, sam udój, są to wszystko ciężkie trudy — nie mówiąc już o tym, że *śmierć w halach nie taka pysna,* jak w dolinie, *pilniej człeka weźmie.*

Owczarz przechodzi nieraz miejsca, w których musi cały swój kierdel przesadzać przez próg granitowy, gdyż owce nie mają za co się uchwycić, miejsca,

gdzie: *jakeś krztynę nogą chybił — tameś!* — to znaczy na dnie przepaści.

Z tą naturą nie ma żartów i trzeba wielkiego zahartowania, dobrej znajomości zjawisk powietrznych, nóg pewnych i jak stal mocnych, wytrwałości i pamięci do rozpoznawania zagmatwanej sieci błędnych dróg górskich, żeby nie zginąć wśród tego chaotycznego świata. Raz kilkunastoletni chłopak z jednej hali poszedł na drugą stronę lesistego wirchu zajrzeć *ku bratu* i zginął bez wieści — czterdziestu górali szukało go potem i nie znaleźli nawet śladu — nic, co by pozwoliło domyślać się, co się z nim stało.

Zjawiska powietrzne, zmiany pogody, wianie wiatru występują tu z nagłością niespodzianych wybuchów; ich zmienność i różnorodność utrzymuje człowieka, skazanego na życie w halach, w ciągłym podbudzeniu uwagi, czujności i baczności.

Oto na dalekim zachodzie-północy zjawia się nagle jak cud, mały, ciemny obłoczek — wydłuża się, rozciąga wielkim półkolem przez pół widnokręgu, grubieje, nabiera rdzawej, brudnej barwy i płynie ku halom jak morze, wracające ku brzegom z odpływu.

Tu jeszcze pogoda, słońce połyskuje na potokach, świeci na krzesanicach skał, opromienia wielkie zielone polany i błyszczy na dachach szałasów; ale tam w dali, za chmurą, ciągnie się przez równie i wzgórza cień wielki, zakrywa pół widzianego świata i pędzi ku górom. Coraz bliżej, widnokrąg się zwęża, zacieśnia, już chmury muskają szczyty, rozdzierają się o brzegi skał, zakrywają lasy, zawalają wąwozy, kłębią się na

polanach, przeganiają po halach, świat zniknął w mgle szarej, która pochłonęła i juhasa i jego kierdel.

Któż zgadnie, na jak długo, na ile tygodni albo miesięcy zwaliła się ta *cyrniawa*, nawała chmur ciemnych? przez ile dni i nocy będzie prało deszczem lub kurzyło śniegiem?

Chmura przyszła z zimnym oddechem i rozsypała się krupami gradu; oślizły percie, drogi, trawy na upłazach; skały ociekają wodą pędzącą wszystkimi szparami, rozbiegającą się i wciskającą wszędzie, spienioną i brudną.

W gęstej chmurze ledwo widać to, co jest pod nogami.

Wicher przylata skądeś, a z nim śnieżna *fujawica;* zamieć potworna, biel rozpylona w powietrzu, kręcąca się tumanami wirowatymi, zasypuje wszystko. Oblepia prostopadłe skały, rzuca mosty śnieżne nad przepaściami, zawisa ciężką okiścią na gałęziach świerków, zmiata po polanach i halach i zabiela kolorowe kobierce kwiatów.

Owce, prane śniegiem, zakurzone po kolana, tulą się pod świerki, do lasu.

Znowu bieda dla juhasa. Musi on je bądź co bądź pędzić, bo stojąc *zglewiałyby*, pomarzły w śniegu. Tłucze więc ciupagą, kopie, szczuje na nie psa, wlecze za mokre kudły i gania po turniach, żeby je śniegiem nie zasuło i nie skrzepły bez ruchu. W takiej *kurniawie* oślepione tłoczą się po zasypanych drogach i nieraz staczają się w przepaście, łamią nogi i trzeba takiego kalekę przynieść w torbie na szałasisko.

Lawiny się urywają z mokrych upłazów i z szyb-

kością błyskawicy spadają w doliny, porywają całe stada i zeną, wynoszą aż do drugiego wirchu.

Czasem *kurniawice* śnieżne trwają długo, śnieg gruby zawala ukwiecone pastwiska, sypie parę tygodni i wygania owczarzy z hal na powrót w doliny, do dziedzin, — jest to prawdziwa klęska.

Niekiedy przez sześć tygodni hale nie wyjrzą zza obłoków. Wtedy to owce, krowy, psy, juhasi i juhaski, wszystko żyje w otoczeniu, w jakim przywykliśmy widzieć figury mitologiczne, lub wśród scenerii religijnych obrazów. Chmura zjawia się gdzieś na dole i płynie po pochyłości wirchu ku górze stopniowo pochłaniając wszystkie przedmioty. Ponad szarą zasłoną, na pół w niej zanurzone, bieleją grzbiety krów, widnieje jeszcze żwirowate zbocze, juhas siedzący przy krzaku kosodrzewiny — i nagle wszystko zginęło, przepadło. Tylko dzwonki jęczą, wewnątrz chmury ciemnej słychać wołania: Gwiazdula! Winocha! Kwiatula! Kwiatula!... to juhaski tak zwołują krowy.

W dniach pogody i ciszy stojącemu na skale juhasowi marzą się legendy, bajki, *plotki,* opowiadane w mroźnych dniach zimowych lub przy pasterskich ogniskach. Ot, tam w Ornaku zaśnione wojsko czeka chwili, kiedy trza będzie wyjechać na pomoc królowi. Był taki jeden ślusarz, co robił na *bani,* kopalni, i chodził kuć konie tym wojakom. Narobił moc podków, poszedł ku nim i chodzi od konia do konia — podkuł wszystkie, pieniędzy mu położyli, to z to poszedł i zawarło się za nim.

Po *graźniach,* ciemnych jamach, we wnętrzu skał tłucze się *duk ziemny* i straszy człowieka; w lasach

i pustaciach czają się *panki,* twarz mają nie taką jak ludzie, tylko *carne pyscyska jako but swarcowany i dziurów nijakik do nosa nie majom, i ręce takie pazdurska brzyćkie jako u wilka albo niedźwiedzia. Złe* strzeże też skarbów, pieniędzy zbójeckich, ukrytych po *kolibach,* pod korzeniami świerków, pod *skrzyżalami,* odłamami skał. Śmierć także czasem ukazuje się jako *bielućka kotka* albo *bielućka wysoka baba.*

Lecz nie samo złe, nie same wrogi pasterzy zamieszkują ten świat górski, nigdy nie *przeznany* i tajemniczy. Jest i takie coś, co jest *grzecne* i przyjazne dla ludzi.

„Miałek dziadka, co bacował, bogobojny cłek był, Boga za Boga miał, jużci, miał na upłazie halom, nad Kościeliskom. I, co się nie zrobiło, zajęło mu coś te owce, przyndzie wiecór zajmie, a na świtanie do dojenia som wsyćkie i straśnie dobrze doiło, zaś kiej z tymi owcami sło, to śpiewało:

Ani ja portecek, ani ja cuzecki,
Kiej se musem paść te cudze owiecki.

Wynosili mu sera, zętycy, toz to zętyce piło, hej! piło, a i ser tez jadło. No, i dobrze nie bardzo! — co nie uradzili: trza mu odzienie usyć, ze tak dobrze pasie, i usyli mu i wynieśli to odzienie, ale mu juz wypłacili tym i posło z płacem. Mozeby jesce pasło, ale bez to odzienie odesło i owce porzuciło i ni było przy nik. I nie wiem, coby zaś ono być miało, cy to nieboscyk pokutował, albo *duk* to musiał być towarzysa dziadka, hej!",

Tak mówił Sabała o dobrym duchu, pokutującym na hali.

W pustce i samotności, z jarów, z lasów ciemnych, z dziur skalnych i dzikich wirchów, wstaje ten świat bajeczny i marzy się zapatrzonemu w dal chłopakowi. Z wysokości, na której stoi, widzi on głębie dolin, dalekie dziedziny, polany zamieszkane, drobne chałupki — marzy się życie w „dziedzinie", przypominają się dziewczyny... porywają go tęsknoty i żądze... Juhasi on na owczarskim szałasie, gdzie nie ma juhasek, tylko stary baca i jego towarzysze owczarze i honielnik, siedzą otoczeni pustaciami i trudnymi do przebycia drogami — za skalnym progiem jak za murem klasztornym.

Dobył jesionowej piszczałeczki i piska... Po drugiej stronie jaru oddzielony wielkimi przepaściami cap dziki, samotny jak on, skacze ze skały na skałę ponad płatem śniegu — staje i potrząsając uszami przygląda się chłopakowi.

Nagle dziki, przeciągły wrzask rozdarł ciszę i rozbił się tysiącem ech po skałach. Chłop zbiera kierdel i wszystko: owce, pies i juhas lecą w dół skacząc z upłazu na upłaz, z kamienia na kamień. To gdzieś z drugiego wirchu wabi go tak jaka Jantka czy Zośka, pasąca krowy. Siądzie na turniczce, sterczącej ponad lasem, i śpiewa:

Zebyk ja wiedziała, ka mój miły kosi,
Zaniesłabyk jemu w podołecku cosi.

Potem zrywa się i rzuca w powietrze ów wściekły swój okrzyk, namiętny i niecierpliwy.

Albo też juhaska, idąca z hali w doliny i prowadząca na lejcu konia, objuczonego *obońkami,* znudzona samotnym zstępowaniem po stromych i kanciastych brzeżkach, budzi swoim wrzaskiem echa, śpiące w turniach i pragnienia w piersiach juhasów, którzy się odzywają gdzieś z dali na jej okrzyk.

III

WOJTEK GANDARA (1907)

Z CYKLU pt. Z TATR

Tak byś pedzioł, co je głupi. — Gandaryzm

Dusza ludzka w swojej zasadniczej treści jest jednaka we wszystkich warstwach społeczeństwa. Na najwyższych i na najniższych szczeblach hierarchii społecznej władają ludźmi te same uczucia, dążenia i pożądania, a najbiedniejszy obdartus różni się od najpotężniejszego arystokraty tylko cienką warstwą zewnętrznej powłoki, wytworzonej przez nieraz czysto materialne wpływy warunków życia. Warunki te działają jednak z taką siłą, że między poszczególnymi warstwami społeczeństwa wytworzyły się przepaście, wypełnione wstrętami i niechęciami, różnice obyczajowe i towarzyskie, odcienie kultury, zawiści i nieufności, nie dające się łatwo przełamać i przeszkadające we wzajemnym porozumieniu. Jakkolwiek blisko dotrzemy do duszy ludu, zawsze jeszcze wobec „pana" pozostanie cały świat najbezpośredniejszych zjawisk, do których nie możemy znaleźć na razie dostępu. Poza pewną granicą zawieszony jest jakby jakiś święty Zaimf, za którym są rzeczy dla „pana", dla „cepra" niedostępne.

W Zakopanem wskutek szczególnych stosunków,

wskutek pewnych, wyłącznie górali obowiązujących warunków życia dziś i w przeszłości, wskutek rasowych tego ludu przymiotów — sfera bytu, dostępna do poznania, była szersza niż gdzie indziej i do duszy górala można było zajrzeć bliżej i głębiej niż do duszy innego polskiego chłopa. Zanim Zakopane stało się tym, czym jest dzisiaj: miasteczkiem na rozdrożu między wysoką cywilizacją wielkiego miasta a pospolitością parafialnego zaścianka, ci, co tu przyjeżdżali, żyli w warunkach tak bliskich życiu górali, tak byli tą sferą ludową ogarnięci, że stosunek towarzyski zbliżał bezpośrednio wszelkie warstwy społeczne, a z siedzących u jednego stołu hrabiów, profesorów, gazdów, juhasów, adwokatów, lekarzy, przewodników lub byłych zbójników wydobywała się wspólna treść duszy ludzkiej, górująca ponad formą ubrania, ilością rocznego dochodu, ponad manierami i akcentem mniej lub więcej paryskim lub chochołowskim. U wszystkich odnaleźć można było te same pobudki czynów, te same przejawy egoizmu lub uspołecznienia, te same porywy wzruszeń i podobne potrzeby umysłu. Wszyscy coś kochali, kogoś nienawidzili, pragnęli posiadać i żądali wrażeń. Literaturą jednych były epopeje Sabały i kazania księdza Stolarczyka, literaturą drugich Mickiewicz, uczone rozprawy lub romans francuski, ale literatura była jednym i drugim potrzebna, a potrzebna z tych samych powodów. Punktów zbliżenia było pełno. Pomimo to jednak do dna góralskiej duszy nie byle ..ceper" mógł zajrzeć, nie przed pierwszym z brzegu „głupim panem" Sabała wygadał to wszystko, co w nim leżało z żywiołowych pierwiastków duszy ludowej, i to

wszystko, co stanowiło własną jego treść indywidualną. Ta nieufność ludu do ludzi z innych warstw jest przyczyną, dla której wyniki badań folklorystycznych bywają nieraz tak niezupełne lub przepełnione fałszami, a wnioskowania o „duszy chłopskiej“ tak ciasne, jednostronne i niesprawiedliwe. Toteż chłop, góral, który wskutek jakichkolwiek przyczyn rozpętał się z ciągłego uświadomienia, że Pan to coś, czego trzeba się strzec lub bać, góral, któremu Pan niczym nie imponuje, który się czuje bezwzględnie niezależnym, a swoją mądrość uważa za jedynie słuszną, swój byt za wzór i ideał bytu, chłop taki przedstawia ciekawy i cenny okaz dla folklorysty, a dla człowieka po prostu współczującego ludowi typ ciekawy i wyjaśniający niejedną zagadkę życia ludowego.

Takim właśnie jest Wojtek Gandara.

— Tak byś pedział, co je głupi, a to przecie ma rozum — i kielo dobry!

Wołają go Wojtek, piszą Łukascyk, mówi się Gandara, a pochodzi ze wsi Murzasihla.

Lat pięćdziesiąt temu Wojtek był pięknym i silnym juhasem. Mężna, młoda twarz o regularnych i energicznych rysach świeciła się radością, a z siwych oczu patrzał spryt, przytomność i gotowość na wszystko. Żółte włosy, nie strzyżone od urodzenia, zaplecione z przodu w „kiecki“, zwisały mu na ramionach poza łopatki. Wojtek był z natury wesołym, czynnym, pracowitym i naremnym.

Właśnie się był ożenił i miał zacząć gazdować na „przyżenionym“ gruncie, kiedy najniespodziewaniej pokazało się, że Wojtek ma niesłychanie pilne interesa

w „Pisierze“, Weronie, Mantui, „Mailandzie“, że musi śpieszyć bronić swoich gruntów w okolicach Solferino i Magenty. Żółte włosy wymieciono na śmietnik „kasarni“, a może zrobiono z nich perukę dla jakiegoś wiedeńskiego teatru. Wojtek dostał „ciako“, kabat, „gwer“, tornister i poszedł. Był on pięknym żołnierzem. „Nogi proste, stopki małe, pierś wypukła, a brzucha nic“; toteż gdzie przyszedł „mruzgały“ na niego panienki, a w jednym miejscu pewna pani chciała się, wraz z dwoma córkami, za niego wydawać i „kielo to woda sła jej z ocu, kie sie dowiedziała, cok zeniaty“.

Wojtek jak wszyscy prawie górale zaliczony został do dwudziestego pułku piechoty, którego miano podług Wojtka brzmiało: — *Wilam princ preis fon fridlik eŝte regiment lumero cwancik;* pułkownik — pan odnerał Kostia Zemania, nie był piękny: — jedno oko miał, ka bywa, a drugie: tutok — mówi Wojtek ukazując na prawą żuchwę — za to miał głos donośny i pułk, jak jeden człowiek słuchał jego ostrej komendy. Wojtka jednak mierzi ta niemiecka komenda. — I co ty bedzies mówił: — Duchter — Fluchter! — powiedz mi: — Kuba obróć sie, Kuba stój, Kuba zwróć się!

Trąbki, według Wojtka, grały zawsze na nutę: „Uciekajmy! Uciekajmy!“. Ale Wojtek nie uciekał tak bez przytomności jak inni. Kiedy w czasie ataku na obóz jego pułku odbieżono kotły z gotującym się mięsem, Wojtek, pamiętający dobrze, co to jest „stucka z wąsami“, to jest dobry kawał mięsa z łojem, wbił na oślep karabin w głąb wrzącego kotła, wychwycił na bagnet spory kawał wołowiny, napchał kaszy w ma-

nierkę i dopiero uciekał przed „taliańskimi“ czy francuskimi kulami, które mu koło uszu świstały. Jakkolwiek Wojtek był dzielnym i przytomnym żołnierzem i został instruktorem dwudziestu innych, jakkolwiek mógł wypić siedemnaście „kielusków“ na czczo i potem tylko sam się dziwił, „kielo to gwara sła ś niego“, kiedy musztrował swoich podkomendnych, chociaż nieraz jeszcze bronił mężnie pułkowych kotłów, nic nie pomogło — interesa Wojtka w Lombardii poszły licho...

Wrócił zatem do Murzasihla i jął się gazdowstwa, które mu jak cudowny raj śniło się przy obozowych ogniskach, wśród nocnych patroli i samotnych stanowisk w łańcuchu straży. Stara, czarna chałupa pod gajami, szopa, gdzie w stajni stał Siwy, a Cisula, Brzezula i Winocha żuły bez przerwy sieczkę w zamyśleniu, gdzie dwanaścioro owiec patrzyło mądrymi oczami z mrocznej głębi, a za oborą pólka ciemnej zieleni gruli, płowego owsa, jaskrawego lnu i wąsatego jarcu, dalej polany, płynące trawami popod las czarny, wstępujący z brzeżka na brzeżek aż na regle, i ponad wszystkim potężny, szczytny mur Tatr, odcięty na błękicie szczerbatymi graniami — cała ta „święta ziem“ góralska ogarnęła Wojtka na nowo. Zaczęło się dobre, stare, góralskie życie. Z wiosną, skoro wiatr halny przeleciał ponad mokrą rolą, naremne sprzęganie ze spólnikami koni do pługa; oranie nerwowe, śpieszne, na gwałt, sianie na świeżo odwróconą, nieskrudloną skibę; dalej grule posadzone, potem obsypane, okopane; statek wygnany do hal, chodzenia z obońkami po mleko na szałas; potem robota z sianem, nieustanne przetrząsanie, wyłapywanie każdego promyka słońca, żeby wysuszyć

w mokre lato czerniejące na ostrewkach kopy, potem zbiórki i ledwie skradziono przed jesiennym podmuchem halnego wiatru owies, ledwo marznąc na ostrym wietrze skopano grule, już po halach kłębiła się kurniawa, zlatywała w doliny zasypując zielone jeszcze jesiony białą okiścią. Szła kurniawa za deszczem, pluta za kurniawą, lejba, lić, mokwa, kwaśba jesienna. Po boiskach dziwki tarły len uzdajając coraz to nowe pieśni, zaczynał rozlegać się rytmiczny stukot cepów, ludzie gromadzili się około chałup, napełnionych ostrym zapachem świeżo ukiszonej kapusty. W końcu, kiedy już Tatry zmieniły się w jeden biały wał śnieżny, skrzący się w słońcu, kiedy poprzez śniegowe zaspy utarły się drogi, zaczynała się robota z drzewem w lesie, który tonął w bieli, przywalony okiścią, osrebrzony kryształami saci; robota z drzewem, ciężka ale jedna z najmilszych dla górala. Zwłaszcza że w owych czasach dla wszystkich „budownych" Wojtków i Maćków las był własnością boską, a potem tego, co go zrąbał, nie tego, kto się w „rzędzie" podpisał jako właściciel. Kraść las było czymś zacnym, zwyczajowym, tego się nikt nie zapierał, chyba przed tym teoretycznym właścicielem, który go bronił ciupagami i flintami leśnych.

Wojtek był z „rodu lekkiego"; od dziecka chowany dobrze, nie bał się pracy. Przy pługu, z kosą na niwie, czy z rąbanicą w lesie, robota paliła mu się w garści. Był z niego mądry i zamożny gazda i mało brakowało, żeby został „hrubym", jak jego „ujek" po babie, którego ośm krów i dwadzieścioro owiec pasło się w halach. Ale tak pan Bóg dał, a ludzie wychowali,

że Wojtek miał skłonność do bitki. Więc też nieraz on komu, albo ludzie jemu godnie popodbijali oczy lub łba nadszarpali, że się krwią zalał. Siadywał też czasem w hareście — ale to go nie zniechęcało ani do życia — ani tym mniej do bitek. Dość na tym, że kiedy raz przyszło do jakiegoś zatargu o las z innymi spólnikami i Wojtek bez niczego w garści znalazł się w lesie, jeden go potrącił, drugi uderzył obuchem, a kiedy Wojtek upadł na twarz, bito go tak, że zemdlał i bez tchu leżał weprany w gałęzie zrąbanego smreka, przy którym się powadzili. Kiedy się „obacył", krew „sklagała" mu się w gardle i nosie, co ledwo gębę mógł ozedrzeć i dychnąć. Porwał się biec, ale nieprzytomny, z oczyma zalanymi krwią skrzepłą, wpadł z całego rozpędu piersiami na pień smreka z taką siłą, że go znów prasło o ziem bez przytomności. W końcu, kiedy ledwo żywy, „na racku" dowlókł się do chałupy, był taki dobity, że ledwo „dusę uprosił, co przy nim ostała". Głowa była skołatana i potargana jak zbity cepami okłacek, na plecach ciało odstało od kości, porobiły się takie torby pełne krwie a gnoju. Wojtek był zupełnym „sietniakiem", ze zrujnowanym zdrowiem i zepsowanym rozumem. Gadał we światy nie mogąc pozbierać do głowy wszystkiego, co się stało. Niedość na tym, wynikły z tego sprawy, „pertykuły", procesa, więzienia, wmieszali się żydzi, stępiono Wojtka do cna, do ostatniej jałówecki. Z honornego i mądrego chłopa stał się „głupim wariokiem", z gazdy — dziad.

Ale silna, nie dająca się łatwo złamać i zniszczyć natura chłopska nie poddała się. Przetrwała wszystko. Pozrastały mu się kości, zagoiły się rany. Pozostały tyl-

ko blizny po ciele, a zresztą dziś kiedy przeszło siedemdziesięcioletni starzec goni drogami z postawą prostą, żołnierską, z kapeluszem na ucho, z cuchą zwieszoną z lewego ramienia, z wąsem pięknie podkręconym, bystrymi i wesołymi oczami, nikt by się nie domyślił, co Wojtek przeszedł, jak go zbito, nikomu by do głowy nie przyszło, że Wojtek nie ma ani gruntu, ani chałupy, ani statku — ani centa. Tylko garście do pracy, niepohamowaną energię życia, a w biednej, skołatanej głowie zepsowany rozum. Ale nie całkiem. Tak byś pedział co je głupi — a on przecie ma rozum, i jesce kieli!

— Kazdy na mnie wyrka: ty głupi! ty dziadu! A cybyście przeze mnie wyzyli? Drwa rąb, wode noś, na mıso do wsi: — idź Wojtek! na cukier: — idź Wojtek! Bibstycki se sami shamkajom — a ty Wojtek o suchej gębie zyj!

— A cy to mnie niewola za darmo robić! Cy ja nie mam gruntów, chałupy, siedm morgów lasu, ojcyzny jesce od praojców, z Wawrzka cy ta z Jędrzka. I co mi ta takie zycie z dziadulami! Niek mi się Zamoyski uchyli, przedam to Zakopane Zydowi i pójdem do Murzasihla! Rąbcie se drwa sami! Bedziecie widzieć, cy przez Wojtka obstaniecie!

Ta wiara, że ojczyzna jeszcze wciąż do niego należy, wraz z całym Zakopanem, wiara, która się miesza z zupełną świadomością istotnego stanu rzeczy, a pomimo to nie ustępuje, nie rozwiewa się i stanowi fikcyjny, ale dla Wojtka najrzeczywistszy świat istnienia, ciągle pokrzepiającą myśl o takim raju gazdowskim; wiara w ziemię obiecaną, która jest istotną dźwignią każdej ludzkiej nadziei, ta wiara, która wydaje się

ludziom, patrzącym z boku, obłędem — jest jasną treścią życia Wojtkowego, bez niej byłby rzeczywistym dziadem, spadłby na samo dno nędzy, na żebraninę, bez żadnych złudzeń i godności życia.

— Cuzysko stare, podarte, katańsko potargane, trzewicyska dziurawe, wsy me źrejom, nie mam przewlecenia, nik mi nie kce wyprać, nie mam co zryć, nie mam ani ka legnąć! — mówi Wojtek w chwili wielkiego rozgoryczenia, ale gryząca świadomość nędzy ani na chwilę nie zdoła ugiąć jego hardej duszy. Wobec „Pana“, który go chce poniewierać, który mu jego „dziadostwo“ wypomni, Wojtek, taki jak jest nędzarz, zepchany na najniższy szczebel społecznej hierachii, dobywa z siebie harde poczucie własnej godności i społecznej łączności z chłopskim narodem i woła: — Głupiście! Nie bedziecie mnie oskazować! Macie swojom fameliom do oskazowania. I co mi ta pan! Jak ja kazem zabębnować, za mnom stanie milion na milion — a za panem nik!

Nie ma on ani własnej chałupy, ani nigdzie pewnego kąta, ani pościeli w cudzym domu. Jeszcze latem prześpi się w drwalni u kogoś, czyje drwa rąbie, ale jak przyjdzie zima, mroźna noc wyiskrzona tak, że się zdaje słyszeć chrzęst drżących promieni Syriusza, kiedy całe Zakopane śpi po napalonych chałupach, kiedy krowy i owce w ciepłej szopie tylko uchem strzygą na trzaskające w mrozie gonty, kiedy pies nawet zatuli się w jakimś kącie we własny ogon i śpi cicho — Wojtek musi szukać noclegu u jakiego dobrego gazdy i za ten nocleg odpłacić robotą: siecke rzezać, gnój odkidować albo drwa rąbać. Nieraz, kiedy na próżno pu-

ka do drzwi drepcąc w zdartych kierpcach na skrzypiącym śniegu, a Ślimacysko dźwirzy nie otworzy, idzie Wojtek do szopy, włazi do żłobu, kładzie się w siano, które spod niego wyskubują krowy, i bardzo taki nocleg chwali.

— Krowy me grzejom, lizujom po gębie, po ręcak.

Nieraz kucharka, zła za wszystko co Wojtek o jej czynach śmiało wypowiada, nie tylko że wszystko sama „shamka", ale wygna Wojtka z kuchni na mróz. Wojtek cierpi, klnie, „sponiewiera panią godnie", ale się nie podda, nie będzie prosił łaski; ukarze „kucharcysko" jak może: drew nie urąbie, wody ze źródła nie przyniesie, do wsi po nic nie pójdzie, tak się zaweźmie, że go niczym nie można przebłagać. Harda jego dusza wyrzuca wtenczas z siebie całą gorycz, która siedzi zatajona na dnie pod przykryciem wrodzonego optymizmu i złudzenia, że on jest gazda, który, jak zechce, pójdzie do swojej „ojczyzny". Wtenczas to Wojtek woła: — Cy mnie niewola za darmo służyć! Niek sie teraz Zamoyski chyci pracy! Przedam to Zakopane, bo mi juz dajom za nie pięć — dwadzieścia milionów...

Stopniowo, pod wpływem własnych słów, wraca mu zupełna wiara w swoją niezależność, wiara w istnienie majątku po ojcach, w siedem morgów lasu, wiara oparta zresztą na oczywistym fakcie, że jego praca jest zawsze dużo warta — choć mało płatna, że siągi drzewa, które porąbał, liczą się na setki, że czy pług wodzić, czy gnój odkidować, czy owies siać, wszystko to potrafi zrobić dziś jeszcze tak dobrze jak najtęższy gazda — że on jest naprawdę gazda — nie żaden dziad.

Ta hardość i poczucie niezależności, to złudzenie gazdowskiego stanu jest i źródłem radości Wojtka, ale też i nieraz prowadzi do nieporozumień z ludźmi mu życzliwymi, gdyż takich Wojtek ma i między „państwem“, i między „sługami“. Nieproporcjonalność między tym, czym Wojtek jest w hierarchii społecznej, a między tym, czym się on sam sobie wydaje, wywołuje kolizje, w których z Wojtka wydobywa się hardy i naremny chłop sprzed laty, który nie chce wprawdzie cudzego, ale też z pewną zawziętością oblicza to, co je mu się od świata należy. Nie ma on nigdzie stałej służby, ale na jakiś czas zawiera milczącą umowę w znajomych i życzliwych domach i służy dobrze i wiernie nie licząc się zbytecznie z tym, co dostaje, i pozostawiając tym, którym służy, złudzenie, że są jego dobroczyńcami, złudzenie zresztą często całkiem usprawiedliwione. Aż jednego dnia jakaś zasuwka w mózgu Wojtka się przekręca i wtenczas wszyscy za wszystko mu są winni, wszyscy żyją jego pracą, on jest wszystkich dobroczyńcą, on, gazda z Murzasihla, poniewiera się dla cudzych dzieci; wszyscy są ino głupimi leniami i dziadami, on jeden jest mądry i pracowity. W takich razach porozumienie się z Wojtkiem jest niemożliwe. Wtenczas ani *papierki* za rąbanie drzewa, ani szóstki dawane na habrykę, ani okowita z cukrem i ciepłą wodą, którą mu przyprawia pani, ani obiad, który mu daje „Petrynka“, ani przyodziewek, sprawiony przez „starszą panią“ — wszystko nic nie płaci — ponieważ jemu się należy grunt, chałupa, siedem morgów lasu... Wojtek sie złości, klnie — aż przyjdzie znowu dzień uspokojenia i Wojtek z wesołą miną bierze się do siekiery i piły.

Wojtek nigdy nie żebrze, nie wyciąga ręki do nikogo. Jeżeli przyjmuje szóstkę na habrykę, zawsze prosi, żeby ją zapisać, że, jak Zakopane sprzeda, wróci, nie chce brać nic za darmo i nie lubi wyglądać jak żebrak. Swoje biedne przyodziewki łata skrzętnie i za uzbierane dudki kupuje sobie tak dobre portki i kapelusze jak najhrubszy gazda, owszem, nie byle z kim się w tym mierzy, ma takie poczucie elegancji, taką miarę tego, co i jak należy na portkach lub cuze wyszyć, że z krawcem dobrze i długo uradzi, nim przyjmie nowy przyodziewek.

Słowem, wrócić mu gazdostwo w Murzasihlu — będzie z niego rzeczywisty i dobry gazda — ale to gazdostwo pozostanie na zawsze w wyobraźni Wojtka. Komuś się zdaje, że on dziad bezdomny, a on tymczasem orze, sieje, las rąbie, buduje, chodzi po jarmarkach, kupuje i sprzedaje, bogaci się — jest tęgim, zamożnym i potrzebnym ludziom chłopem. Złudzenie zresztą tak powszechne! Wszyscy ludzie mają takie gazdostwa w Murzasihlu, wszyscy żyją nie tym, co mają, tylko tym, w co wierzą, że mieć mogą. Nie tylko jednostki, narody całe żyją taką myślą o idealnej ojczyźnie...

W obłędzie Wojtka każdy może się przejrzeć i zobaczyć własną duszę i własne życie. Ktoś, znający Wojtka dobrze i widzący analogię takiego stanu duszy u innych ludzi, nazwał to *gandaryzmem* — bez gandaryzmu ludzkość by nie wyżyła.

Stopień tragizmu życia jednostki jest niezależny od znaczenia tego życia dla innych. Podstawmy zamiast gazdostwa w Murzasihlu wszechświatową Monarchię, zamiast wygnania na skałę wśród morza wygnanie do Zakopanego na głód i nędzę — będziemy wprawdzie mieli inną dekorację i inną względną wartość jednostki, ale istota zjawiska będzie ta sama. Żeby Napoleon chciał cicho siedzieć na Elbie, miałby syte i spokojne życie — żeby Wojtek chciał pogodzić się ze swoim losem, miałby tak dobre życie jak krzywy Waluś albo ślepy Orawiec spod kościoła.

W najgłębszej głębi swojej istoty ludzie są nieraz jednacy i los ich jest podobny pomimo ilościowych różnic pewnych przymiotów, innej wartości utraconych skarbów i innej dekoracji, wśród której rozgrywa się dramat ich życia. Ale ta dekoracja tak przesłania ludziom istotę zjawisk życia, tak powszechnym jest mierzenie wartości człowieka nie tym, czym on jest, lecz tym, co on posiada, tak bliscy są ludzie wiary w to, że godność ich jest poprostu zależną od ilości posiadanych pieniędzy, że poza tą miarą nie widzą istotnej wartości dusz własnych. A jednak, czytając taki dziennik doktora B. E. O'Meary z pobytu na Świętej Helenie i porównując z tym, co mówi Wojtek Gandara, przychodzi się do przekonania, że w pewnych chwilach ubodzy duchem nie są wyłącznie ci tylko, których „wsy źrejom"...

Schopenhauer mówi gdzieś, że ordery są potrzebne, byle by były sprawiedliwie rozdawane. Ludzie, mówi on, są za głupi, żeby mogli ocenić wartość

lepszych spomiędzy siebie — trzeba na nich zawiesić ordery, żeby inni przyzwyczaili się przynajmniej czcić tych, którzy tej czci są warci. I tak jednak ludzie by czcili nie istotę człowieka, lecz wynik jego życia, który zależny jest nie tylko od tego, czym człowiek jest sam przez się. Istotę człowieka poznaje ten tylko, kto umie czcić geniusz w dziecku, kto w głębi duszy ludzkiej potrafi dojrzeć utajoną moc czynów niespełnionych, kto w nieśmiałym szepcie duszy, ledwie budzącej się do życia, dosłyszy szum wichru myśli wieszczów, kto na wątłych jeszcze barkach młodości dojrzy orle pióra potężnych lotów, kto w nagim nędzarzu, wyrzuconym na śmietniki odpadków ludzkich, dojrzy znamiona najwyższych pierwiastków ludzkiej godności — słowem ten, kto potrafi dotrzeć do rdzenia duszy, odartej ze wszystkich powijaków, z wszelkich zewnętrznych, kryjących jej istotną treść społecznych dobytków, kto duszy tej odbierze szczudła bogactwa, nauki, społecznego znaczenia i spojrzy na nią tylko jako na splot sił, które wszystko tworzyły i wszystko tworzą, które są najpierwotniejszą przyczyną zjawisk świata ludzkiego.

Któż jednak o to się troszczy, kto się tym zajmuje, kto się zastanawia nad doniosłością tych zagadnień? Nikt prawie.

Kiedy potężny nurt młodości przelewa się niepohamowaną, mętną od własnego nadmiaru falą myśli i uczuć, któż wtenczas czci tę młodość, kto dba o tę energię, szukającą celu dla swego czynu? Nikt! Ludzie czekają aż przejdą długie lata, żeby czcić pracę i zasługę, to jest skutek tej siły, koło której przechodzili

obojętnie albo niechętnie, bojąc się jej żywiołowej mocy, grożącej wydarciem nowych łożysk życia, idących w poprzek utartych ścieżek... Ludzie czekają, aż będą mogli czcić trociny pozostałe z promiennych niegdyś myśli i uczuć, czcić zdrowie, które pozwoliło człowiekowi dożyć do — sklerozy...

. . . .

Ktoś powiedział, że sprawiedliwość społeczna wymaga koniecznie postawienia wszystkich ludzi w jednakich warunkach życia dla ocenienia ich istotnej wartości, jak się stawia na jednej linii konie u startu, żeby słusznie ocenić ich rączość w przebiegu do mety.

Dopóki zaś w świecie ludzkim dzieje się tak jak dzisiaj, sąd o jednostkach lub całych grupach społecznych, wyprowadzonych na podstawie wyniku ich życia, będzie zawsze nieścisły i niesprawiedliwy.

Wojtek się rodzi w Murzasihlu, zapadłej wiosce, odciętej od świata łańcuchem gór, łożyskami nieokiełzanych, chaotycznych rzek górskich, bezdrożem dróg zaoranych wodami naremnic, odciętej zresztą samym brakiem stosunku ze światem jej mieszkańców, których życie przygniata bezwład wiekowy warunków istnienia. Wojtek nie uczy się nic, prócz tej nauki, która wsiąka weń sama siłą swojej konieczności życiowej: paść statek, gnój odkidować, orać, siać, kosić, las rąbać, budować — oto wszystko oprócz pacierza i religijnych praktyk. Jakkolwiek jednak głęboko zaszył się Wojtek w lasy i zapadliska, pamięta o nim państwo. Nie dlatego, żeby ułatwić rozwój jego indywidualności, żeby zazierać do jego duszy i wyławiać z niej cenne skarby społecznych przymiotów — nie, państwo szukało w jego

tórbce grajcarzy, a w pewnej chwili porwało go za kołnierz, wywlekło na dalekie pola krwawych bitew i postawiło pod kartaczami, nie wiedzącego z kim i o co się bije i nie dało mu nigdy o tym się dowiedzieć... Wojtek wraca znów do siebie ze wspomnieniami okrucieństw wojny i doskonałości „carnego wina w Werónie“, i znów orze, znów gnój odkiduje, las rąbie, radzi z chłopami, kłóci się, godzi, bije innych i bywa sam bity. Zakres jego wrażeń, jego doświadczeń, jego „pomocy naukowych“ obraca się w granicach najelementarniejszych praw bytu: — głód, miłość, walka ze śmiercią — wszystko na przestrzeni pól Murzasihla, sąsiednich regli, niedzielnych wypraw do kościoła w Poroninie i uroczystych pielgrzymek do Kalwarii na odpust. Jego umysł bada otchłanie nieba bez teleskopu i zawiłych rachunków, bada biologiczne prawa, warunkujące podstawy jego bytu, to jest: *rolę* i *statek*, bez pomocy naukowych teorii, obserwacji meteorologicznych lub doświadczeń chemicznych i fizjologicznych; jego politykę normuje „pan ze rzędu“, stosunki społeczne — wójt, a jego dzieci urzeczywistniają zasadę koedukacji pasąc gromadnie krowy i owce, a koabitacji śpiąc w jednym łóżku, na kupie. Wobec wszechświata z jego niezmierzonym ogromem tajemnic staje on z „czystym rozumem“, któremu nie pomaga i którego nie mąci książka; wobec sił natury, które musi pokonywać, żeby żyć, jest on uzbrojony tylko w swoje dziesięć palców; zawiłościom społecznego ustroju przeciwstawia on tylko egoizm niepohamowanej chęci życia, mus poddania się sile i nadzieję, że Pan Jezus lub „cosik“ go z tej matni wyratuje...

Ktoś inny rodzi się w zamku odziedziczonym po licznym szeregu przodków lub w pałacu świeżo zbudowanym przez pierwszego przedstawiciela plutokratycznego rodu. Od pierwszego dnia życia otacza go wyrafinowana wygoda, przepych i zbytek; całe jego życie gruntuje się na przywileju, wynikającym albo z prawa, albo z faktu posiadania nadmiaru bogactwa, wobec którego bliźni się upadlają zrzekając się swoich praw indywidualnych. Ma on przed sobą otwarte wszystkie horyzonty życia i wszystkie drogi świata. Hodują go jak bezcenny okaz rasy ludzkiej — jego funkcje fizjologiczne są przedmiotem wysubtelnionej troskliwości, każdy nerw, każdy mięsień jego ciała pielęgnuje się stosownie, jego umysł jest ostrzony na osełkach mądrości całych tłumów nauczycieli. Ma on z góry już, przed zasługą, otwarty dostęp do wszelkich stanowisk, zupełną swobodę wybrania sfery działalności i zupełną pewność, że go nikt nigdy za kołnierz nie porwie... Za niego inni się biją, za niego inni myślą, dla niego odkrywają wielkie prawdy wiedzy, dla niego piszą, malują, grają, dokonywają wiwisekcji; napełniają muzea i biblioteki; ułatwiają mu dostęp do wszystkich zdobyczy nauki, zbliżają doń najdalsze epoki geologiczne i historyczne i odsłaniają tajemnice przewidywanej przyszłości, ukazują mu wszystkie cywilizacje, wszystkie klimaty, wszystkie lądy i morza i wszystkie zdumiewające zjawiska przyrody, i przejawy twórczości ludzkiego umysłu. Jego byt jest pochłanianiem ogromnych zasobów rzeczy użytecznych, wytworzonych przez szeregi pokoleń minionych i wytwarzanych dla jego użytku przez pokolenia współczesne. Cała pomysłowość

wynalazcza wysila się, by oszczędzić jego siły, by przedłużyć wartość miary czasu, by ułatwić mu spełnienie każdej chęci, zaspokojenie każdego pragnienia, od najelementarniejszych instynktów do najbardziej subtelnych marzeń wyrafinowanej kultury.

Oto straszliwe następstwa skromnego na pozór faktu, że jeden człowiek rodzi się z tej, a drugi z tamtej strony okna, jak mówi Morris. Dwie ludzkie istoty, jedna bez winy, druga bez zasługi, są fatalistycznie, od urodzenia rzucone na dwa różne bieguny życia, umieszczone w sferze najskrajniej sprzecznych warunków rozwoju i możności czynu. Kiedy jedna, wyzwolona spod przemocy pierwotnej walki człowieka z naturą, może korzystać z całego skarbu doświadczenia, zdobytego w długim pochodzie cywilizacji, druga współcześnie żyje w warunkach bytu, przypominających pierwsze chwile epoki żelaza, skazana na zużywanie życia dla odkrywania z trudem rzeczy dawno wiadomych, na bezużyteczne wynajdywanie prochu, którym już od dawna na wyższym zagonie strzelają do kaczek... Czy można wartość tych dwóch istot mierzyć wynikiem ich życia? Nigdy. Na ogół jednak do dziś dzieje się jeszcze gorzej — na ogół nie pytając nawet o ten wynik z góry się wie, kto tu jest „wyższy“ — oczywiście ten, kto się rodzi w pałacu lub zamku...

Ale przychodzą powikłania życiowe, nieprzewidziane skłębienia wypadków, które jednego i drugiego rzucają na ten sam poziom bytu: Wojtka wygania los z gazdostwa w Murzasihlu, pana z jego zamku — teraz dopiero pokazuje się, kto jest wyższy, kto upada niżej, kto utraciwszy szczudła przywileju lub bogactwa

bardziej kuleje, kto ma większą moc duszy, kto jest mężniejszy, czyja godność i duma jest mniej zależną od zewnętrznych warunków? Nie mówię tu ze stanowiska demokratycznych złudzeń co do bezwzględnej wartości chłopa, nie twierdzę, że on zawsze jest wyższym od pana, twierdzę tylko, że obaj są sobie równi i że istota ich wartości leży w wartości wątku, z którego utkane jest ich człowieczeństwo, w wartości nagiej duszy, ich czystej indywidualności, ich wrodzonych przymiotów — nawet nie ich kultury. Widziałem jednych i drugich na szczycie i na spodzie — tu i tam szczęście graniczy często ze świństwem, a nieszczęście z upodleniem, lub na odwrót, w szczęściu widać wspaniałomyślną szczerość a w nieszczęściu dumny hart ducha.

IV

JĘDREK CAJKA (1907)

Fukło!

W Jędrku Cajce kipiała nieokiełzana moc namiętnego życia. Jak z waru gotującego się kotła dobywają się gorące szumowiny i bryzgi, tak z niego wydzierał się przez brzegi żar szalonego temperamentu, który go niósł bez pamięci za każdym wrażeniem, każdym pragnieniem, każdym celem lub bez żadnego celu. Zdawało się, że w nim szamoce się siła, niezależna od jego woli i chęci, jakaś „nierówna moc“, która nim włada samodzielnie, szarpie, trzęsie, podrzuca i zmusza do tego nieustannego, bez wytchnienia miotania się w radośnym tańcu życia.

Z maleńkości Jędrek był takim. Ledwie od ziemi odrósł, kiedy już tańczył do zawrotu głowy krzycząc jak opętaniec: „piknie grać, a na nózki pozierać“, grał mu do tańca inny Jędrek, piłując patykiem o drzazgę, cupkając bosą nóżką jak Bartusiów Bartek, i śpiewając: dylu! dylu!...

Mały jak kogut z nastroszoną ciemną czupryną, miotał się Jędrek po oborze, po szopach, pajtach i strychach, kopyrtał się po łące, wspinał się na drabiny, przeskakiwał płoty, śmiał się i broił uciekając jak świstak przed tatowym opaskiem w regle, między szare

turniczki, w różowe gąszcze kipszyny, zalegającej żleby w rąbaniskach. Tam szalał od opętanej radości, jaką mu sprawiała niezgoniona wartkość drobnych nóżek i siła przenikliwego spojrzenia jasnych i połyskliwych jak stal źrenic.

W miarę jak Jędrek podrastał, wydłużały się coraz dalej od chałupy drogi jego zagonów. Był on wszędzie, wszędzie doleciał, wszystko widział, wszystkim się cieszył, znano go też daleko poza chałupą Cajków, a że nie robił nikomu krzywd złośliwych, więc go lubiono. Wszystkich cieszył ten mały, w którym najistotniejsze przymioty góralskiej natury „grały jako struny wyzdajane“ na ton najwyższy.

Kiedy przyszły Zielone święta i całe Podhale jarzyło się, jakby od rojów świetlików, od ogni, migocących po brzeżkach i miedzach, wtedy we wszystkich okolicznych dziedzinach wiedziano, gdzie nosił się z gorejącą żagwią Jędrek. — Psia kość! wywyrtna tyz to śpata! — mówili starzy, wpatrzeni w mrok nocy, poszarpany szeregami krwawych, latających ogników, wśród których jedno światło zdawało się opętaną iskrą, szamotaną przez chaotyczny wir wiatru; — wszystkie dzieci, dziewczęta i chłopcy zlatywały się ku Jędrkowi jak rój ciem, oczarowany blaskiem. Jędrek szalał. Jego oczy wchłaniały namiętnie blask wszystkich świateł, a nogi pędziły jak opętane wzdłuż zagonów i łąk, taplając się w młakach, przelatując ponad skalnymi miedzami i łożyskami potoków.

Skoro Jędrek podrósł na tyle, że mógł pójść za gońca na szałasie, pasał owce, raczej pasł się z nimi po upłazkach, wiszących jak żyły malachitowe w szą-

rych krzesanicach turni. Kiedy rozsypane owce pobrzękując cicho dzwonkami pasły się nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, Jędrek nic, tylko dla radości szalonego pościgu, świstał przeraźliwie i zganiał w najwścieklejszym pędzie wystraszone stado, któremu za oczy zalatywał równocześnie z luptowskimi psami. Nie było w całych Tatrach psa, który by przed nim uciekł, którego by mały Cajka nie zgonił, nie złapał za ogon i nie potoczył się razem z nim nie pytając dokąd — w przepaść to w przepaść, a w potok to w potok. Niekiedy na chwilę kamieniał na turnicy w bezruchu; osłupiałe oczy rozszerzały się nadmiernie i zdawało się, że nie widzą nic... nagle budził się i z wrzaskiem: — E! chłopcy! — który rozdzierał jak strzał z flinty ociężałą ciszę skał niemych, porywał swoje stado i pędził w chmurze brzęku turconi i spizaków, beku owiec i ujadania psów ozpajedzonych do wściekłości.

Jędrek był z tego gatunku górali, których wzrok i myśl mija szczyty chałup i drze się tam, gdzie najwyższe szczyty Tatr w swej kamiennej powadze dźwigają się ku niebu.

— Nie będzie z tobi gazda, ino lebo zbójnik, lebo polowac, abo bees taki nicpote, co z torbom za panami góni — prorokowali mu rzetelni gazdowie, tacy, co mieli „mature do roli i statku“, i patrząc na Tatry mawiali: — Ja ta z tym nigdy nie rabiał.

Zbójnikiem nie został, bo nie miał ani twardego i mężnego serca, ani żądzy złota i śrybła; polowacem również, bo nie miał możności skupienia się w cierpliwym wyczekiwaniu, w przebiegłym ślakowaniu, podchodzeniu i zimnej krwi w strzale, no, a gazdą nie mógł

być, bo gazdostwa nie miał... Za to był przepysznym przewodnikiem.

Cajka był tak przystosowanym do życia w Tatrach, jakżeby go zrodziło powietrze halne, strome sciany krzesanic, głębie przepaści i bezmierne dale, odsłaniające się ze szczytów. W jego piersi biło serce o potężnej, niezmordowanej sile, jego płuca pracowały jak tęgie, nowe miechy kowalskie, nie mogące się zadyszeć; jego ucho wchłaniało cały ten ogromny, przyciszony szum, błądzący w Tatrach za podmuchami wiatru, i wyławiało zeń odrębne głosy wód najdalszych, westchnień i szmerów wiatru, poszumów kosówek i traw na upłazach, dalekich tętentów kierdeli zsypujących się na szałasiska, miękkich stąpań niedźwiedzi, prucia ziemi przez świstacze pazury, zgrzytu racic kozicy po usypiskach piargów, szumu skrzydeł orlich i ech ludzkiego życia, przychodzących z bezmiernej dali świecących w słońcu dolin. Ale najcudniejsze były oczy. Za ocy, nie odsłuzem Panu Bogu, choćbyk sto roków zył! — mawiał Jędrek. Oczy te dopatrzyły najsłabszy ślad dotknięcia ludzkiej stopy na czarnym, suchym poroście, przywartym do granitowych głazów, i sięgając do krańców widnokręga widziały, co się dzieje w dziedzinach, ledwie majaczących w oparze oddalenia. Błądziły one po świecie widzialnym w ciągłym zachwycie, w nieustannej radości zbliżając do Jędrka światy, zatracone w błękitnej dali, ukazywały mu mnóstwo drobnych rzeczy pod stopami wiodąc go w noc i we dnie przez chaotyczny świat Tatr z bezwzględną pewnością. Drobne ziarnka granitowego piargu, ledwo odchylona gałązka jaferu, schwiany liść paproci, maja-

cząca w gąszczu biaława podszewka liścia maliny, wszystko to łapały te jego oczy i kierowały nim z niezachwianą ścisłością idącego do celu pocisku. Z największego oddalenia rzucał on promienie swego wzroku na rozpływające się w sreżodze turnie i wypatrywał percie, żleby, występy skalne, bulki i szpary, po których potem szedł nie myląc się nigdy. Stojąc na wirchu zaglądał w dna dolin i był obecny, choć daleki i niewidzialny, w szałasach, które zdawały się drobnymi skrzynczątkami. Śmieli się z niego towarzysze, że z Mięguszowickiego wirchu widzi pstrągi w Morskim Oku, inni stojąc na szczycie Krzywania pytali: — Jędrek! widzis ty w Podbańskiej wsy na haw tym juhasie na lewo? — Ka? — pytał Jędrek, który nim się opatrzył przez chwilę był pewnym, że mógłby i to widzieć...

...Jednego wiosennego wieczoru, kiedy słońce ginęło gdzieś za Gubałówką zostawiając za sobą płomienną zorzę, kiedy w reglach rozlegało się jeszcze ciche pochrapywanie słonek, sarny snuły się brzegiem rąbanisk, a w głębi lasu świstały dźwięcznie i wesoło kosy, Jędrek wsypawszy jak zwykle w tórbkę garść numulitów dla dzieci, zebrawszy sprzęt, wracał do domu. Kiedy mijając kościół zdjął kapelusz i żegnał się pobożnie, zaczęli go wołać z brzeżka chłopi, kujący kamienie: — Cindra! Jędruś! hybaj haw, fuknij ze nam skałe! — Zje cemuzbyk ni miał fuknąć! — odpowiedział chętnie i wesoło Jędrek, wspiął się lekko na brzeżek, natychmiast nabił prochem wywiertaną już dziurę, zapalił lont i ukrył się z chłopami za węgłem. Iskra

przebiegła po skale i skryła się w tulejce. Jędrek czekał — nic! — cisza... czekał jeszcze — nic, jeszcze chwilę — nic! — Cy cie dia... mam pedzieć, cóż to u Pana Boga!... i pobiegł ku ogromnemu odłamowi skały, który leżał w martwej ciszy. Przyjrzał się i dmuchnął w tulejkę: — Fukło!

Coby nie cekali, jaze ocy zwypalujom.

Wiatr zwiał dym i kurz na stronę. Na ziemi leżały białawe odłamy rozsadzonej skały i leżał, praśnięty plecami o kamienie, Jędrek topiąc się we krwi... ponad całą doliną unosił się huk strasznych ech, które oddalały się gdzieś w świat warcząc groźnie, ponuro, złowrogo...

Noc zapadała.

Po sprawdzeniu, że życie nie poszło w świat za tymi echami, po jakim takim opatrzeniu ponieśli Jędrka chłopi na noszach do domu.

Ćma już była zupełna kiedy przyszli...

Przez całą noc wbita w ziemię chałupa, nad którą wznosiły się groźne, potworne konary starego jesionu. zdawała się umierać w bezmiernej boleści. Wydzierał się z niej poza ściany, ponad dach straszliwy jęk Cajki, jęk bólu, strachu, rozpaczy, obłąkania, z którym mieszało się żałosne, przeciągłe skomlenie, dzikie wycie i wrzask Zośki; barłóg, w którym spały dzieci, wstrząsały chlipania, łkania i urywane nieprzytomne słowa..

Cicha noc wiosenna patrzyła do rana jasnymi gwiazdami na chałupę Cajek i słuchała ich jęku, wy-



S. Witkiewicz — Dziewczyna z barankiem

cia, bolesnego skomlenia z łagodnym, zimnym, bezmiłosiernym spokojem.

Nazajutrz przyjechali od rana lekarze. Wchodząc z blasku przecudnego dnia wiosennego, skrzącego się słońcem, smugami kaczeńców, cykorii i żółtej mgły drobnych jaskrów, nie widziało się nic w izdebce Cajków. Czarne wnętrze, w którym wisiał mały kwadracik jasnego okienka, napełniał cichy, żałośny, nieustanny jęk...

Chałupa oblężona była przez tłum bab i dzieci, które jak skołowaciałe stado pchały się we drzwi i oblepiały się na oknie. Przeciskając się do izby lekarze słyszeli tylko: — Nie róbciez mu reparacji, nie róbciez! On już światu nie sądzony, nie męcciez go, dajcie, niek se umre spokojnie. Kiz by ta taki zył!

Jędrek, zanim usnął pod chloroformem rzucał się zębami na ręce, które się zbliżały do niego, w którym była tylko jedna świadomość — świadomość bólu. I oto leżał teraz odsłonięty i spokojny. W słabym, zielonawym świetle widać było, jak z tych jego przecudnych oczu lała się krew zmieszana z ziarnami prochu i pyłu kamiennego, u wyciągniętych po bokach rąk zamiast dłoni wisiały potargane krwawe strzępy, biała pierś potrzaskana, wznosiła się ciężkim oddechem, na nogach gdzieniegdzie ślady jakby karabinowych postrzałów...

Zośka posługiwała milcząc i starając się surowymi oczami omijać Jędrka, wpatrywała się w lekarzy spełniając wszystkie polecenia sprawnie i szybko. Ręce jej tylko się trzęsły, i na szyi targały się kurczowo mięśnie w wysiłku, z jakim trzymała ściśnięte zęby, żeby nie

krzyknąć strasznym wrzaskiem, który jej się wydzierał z duszy i rwał za gardło.

Długo to trwało... W końcu lekarze wyszli do pola, bladzi, ze spoconymi czołami i nie zdejmując białych kitli z zakasanymi rękami siedzieli milcząc i paląc papierosy...

Do izby, z której wywalała się fala przesiąkniętego chloroformem, karbolem i jodoformem powietrza, pchały się znów baby i dzieci — pomagając Jędrkowej w sprzątaniu krwawych odpadków lub tłocząc się w osłupieniu przy pościeli Jędrka.

Leżał on przez kilka dni w chałupie, do której zaczęło gwałtownie płynąć ludzkie miłosierdzie. Jędrkowa uczuła nagle, jakżeby „cosik" zdjęło z pleców cały ciężar powszednich trosk. Z jednej strony żrący, rozpaczliwy ból o Jędrka ogarnął całą jej świadomość — z drugiej coś się w chałupie stało szczególnego. Nikt niczego od niej nie żądał — a każdy miał nie tylko to, czego potrzebował — ale i ponad to. Dzieci były nie tylko syte, ale chodziły z twarzami umazanymi czekoladą. Były nie tylko odziane, ale i obute i każde miało jakieś przewleczenie na zmianę. Dla Jędrka nie trza było nic warzyć i nic kupować. W izbie zamiast przekisłej kwaśnicy pachniał z garnka doskonały rosół, pachniało stare wino i pomarańcze.

Dusza Jędrkowej słaniała się, rozdarta między straszliwą boleścią a radością, która wdzierała się w czarną chałupę wraz ze spokojem o dziś i o jutro. Dotąd nigdy nie potrzebowała myśleć o Jędrku z niepokojem i lękiem, nie chorował on nigdy, nie męczył się, nie smucił — wszystkie jej trwożliwe myśli przywarte

były do dzieci, do nie dającej się ani na chwilę zapomnieć troski o ich dzień dzisiejszy i jutrzejszy. Wszystko to teraz odpadło — pozostał tylko potargany na krwawy strzęp — Jędrek. Coś się stało nie do pojęcia: — szczęście i nieszczęście jednocześnie tłoczyły się we drzwiach chałupy, potrącały się i skłębiły się w jakąś potworną zagadkę... Jędrkowa nie miała ani czasu, ani siły umysłu do rozplątania tego chaosu.

. . . .

Teraz Jędrek, jak więzień w ciemnicy, zaczął ozmyślować. Opuszczał się na samo dno ciemnych pieczar, przepastnych graźni duszy, w których nigdy przedtem nie bywał, i starał się w tym mroku beznadziejnym wynaleźć jakieś światło przewodnie, jakąś zasadę, która by broniła jego myśl przed szturmem potwornego zwątpienia. Ale tam, w głębi, czaili się nań *Pankowie,* złe duchy bezmiłosiernie trzeźwego rozumowania, które rozpraszając złudną mgłę wierzeń ukazywały mu potworny bezsens tego, co się stało.

Pojęcia zła i dobra, cnoty i zbrodni, kary i nagrody, sprawiedliwości i miłosierdzia skłębiły się w strasznej z sobą walce i zatrzęsły filarem, na którym wspierał się cały świat — zatrzęsły pojęciem Boga. Jędrek nie śmiał się zbliżyć do tego ogniska, w którym skupiały się wszystkie ostateczne przyczyny jego bytu, nie śmiał zaczepić zwątpieniem o to źródło wszystkiego, błąkał się myślą z daleka, ale myśl ta musiała z konieczności, z nałogu, w jakim się wychowała i w jakim żyła, iść tam i tam szukać odpowiedzi. Szła więc i pytała natrętnie, namiętnie, grubo, brutalnie: — Dlaczego tak się stało? — Ale odpowiedź na to dawał nie kto in-

ny — tylko sam Jędrek. Dobywał z siebie to, co włożył w pojęcie przyczyny wszystkiego, i chaos w jego umyśle wrzał jeszcze straszniejszy, albo też drogą logicznego rozumowania powstawało zimne zwątpienie. To, co dotąd wyjaśniało wszystko i kierowało wszystkim, ta zasada, która służyła jak klucz do otwierania wszystkich tajemniczych zawór — ta właśnie zasada zachwiała się.

Ogniwa przyczyn wiązały się tak: — Jędrek cierpiał — nie ma cierpienia bez kary, nie ma kary bez występku; — cóż on, Cajka, uczynił tak potwornie złego, żeby nań spadła najstraszniejsza kara, jaka może dotknąć człowieka, który jednocześnie nie postradał rozumu i ma świadomość swego nieszczęścia? Jędrek z najbezwzględniejszą surowością, bezmiłosierdziem roztrząsał swoje sumienie. Prawda, był człowiekiem lichym, miał na duszy moc grzechów — ale czyż w grzechach tych nie chodzili inni, czy nie dźwigali ich na sobie wszyscy, zacząwszy od jego towarzysza Suhego Jasia? Dlaczegóż wszystkim nie zwypalujom oczy, nie oberwą rąk, nie potępią, nie pokarzą jako jego pokarali?

Ale czy pokarali? Czyż Jędrek nie jest teraz gazdą, czy nie ma chałupy, krowy, jadła, przyodziewka, on i Zośka, i ośmioro ich dzieci? Czyż nie odwalił się z ich życia straszny ciężar nędzy, trudu, który w końcu byłby ponad siły, ciężar troski i niepokoju o los ich wszystkich? Jędrek wiedział, że tak jest i znał wartość tego bogactwa, które na nich spadło, ale on nie miał zmysłu własności, żądzy posiadania. Był on cały porywem czynu, żądzą użycia i doznania wrażenia. — Choćbyk

milion miał w skrzyni, nie uciesyłoby mnie telo, jako ostatnie dwa dudki, co ik dam za habryke — mawiał. Świadomość dostatku, który mu się dostał, który nie był zdobyty jego energią i pracą i zużywany z radosną pasją życia, nie mogła wypełnić ciemnej przepaści, w jaką był strącony i powstrzymać zbudzonej myśli jego przed szukaniem rozwiązania sprzeczności, w których się wikłała.

Ostatecznej przyczyny, dla której: — fukło! — Jędrek nie widział w własnej nieuwadze. Tyle lat zupełnie tak samo obchodził się z prochem i skałą i zawsze było dobrze. Teraz: — fukło! — fukło w niego. Bez woli boskiej włos z głowy nie spadnie — więc chyba ta wola to uczyniła? A to szczęście, ten dostatek skąd? — Z ludzkiego miłosierdzia? Doszedłszy do tego miejsca w rozumowaniu Jędrek poczuł, że ta noc, która mu przesłaniała słońce, przesłoniła wszystko w duszy.

Komu się należała wdzięczność i słowo błogosławieństwa — komu zemsta i nienawistne przekleństwo? Kto był źródłem złego, a kto krynicą dobrego?

Całe rusztowanie, na którym wspierała się moralna równowaga Jędrka, runęło; ten ster, który w zawiłościach życia pozwalał jako tako płynąć wśród labiryntu sprzeczności, złamał się; runęły podstawy całego tego ustroju myślowego, którym się posługiwał Jędrek wraz z całym ludem.

Jedno tylko było zupełnie jasnym, to że dla jakichś niepojętych przyczyn los nie godził się na to, by Cajka miał oczy i ręce, a jednocześnie życie wolne od ostatecznej nędzy. Dopóki miał swoje cudne oczy i zdro-

we ręce do pracy — była nędza, zginęły oczy, poszły w strzępy ręce i jednocześnie nędza i troska nie tylko wyniosły się z czarnej chałupy, ale zabrały ją z sobą, zostawiając Cajków w jasnych izbach i dostatku. Zatem za dobrobyt swojej rodziny Cajka zapłacił sobą, zapłacił tym, co w nim było najlepszego — oddał siebie, żeby ta rodzina miała zawsze pełną miskę i obleczenie.

— Kiedy ci trza było moik ocy, za to, coś im miał dać zryć, niekze bedzie i tak, cóż ci poradzem — ale... Jędrek z wysiłkiem zhamował myśl i pogrążył się w ponurym milczeniu. Ale myśl ta leżała w jego duszy jak strzała na napiętej cięciwie łuku.

Był on jak człowiek przeklęty czy zadżumiony, którego wyrzucono za burtę, żeby nie pociągnął okrętu na dno, lub żeby nie wymarła załoga. On tonął w ciemnych głębinach, ale okręt szedł dalej pełnymi żaglami i dobrze że szedł — ale on tonął! Dlaczego? Dlaczego?

. . . .

Raz przyszedł go odwiedzić ksiądz i, uderzony jego ponurym smutkiem, starał się obudzić w nim świadomość szczęścia, które nań spadło, wyliczał wszystko, co Cajki dostały, przedstawiał ogrom przewrotu, który się dokonał w ich życiu i ogrom miłosierdzia boskiego, które to zdziałało. — Jędrzeju, mówił w końcu, powinniście czuć bezgraniczną wdzięczność dla Opatrzności, która wejrzała na waszą nędzę, na wasze kalectwo i zaopiekowała się waszymi dziećmi, żoną i wami.

Jędrek słuchał w skupieniu i milczał... Nagle skó-

ra z czoła ściągnęła mu się w groźny wał nad oczami, nos skrzywił się drapieżnie i Jędrek krzyknął:

— A kaz som jest moje ocy? Ka? Cyk ja o to pytał? Miałek ręce i miałek ocy, siła we mnie była, choć na dziesięci, nie chodziłek po pytaniu, nie klęnek, nie skamlał — alek pracował, pracowała baba, my by se dali rady przez takiego miłosierdzia! A na ostatek, choćby ta skapieli, świat by od tego nie wykopyrtnon się do góry węgłami! Miłosierdzie ta, miłosierdzie! Idźciez pod kościół i dajcie w pysk dziadowi, a pote dajcie mu choć sto — choć tysiąc papierków, kie w nim je kiela tela dusa, nie zabacy on wam tego bicia, nie bedzie boćkać po ręcak. Abo urwijcie człowiekowi łeb, a pote włóźcie go choć do złotej truchły — niekze będzie wam wdzięczny! Kielo warce i ta chałupa nowa i syćko, co haw ludzie znieśli? Kielo? No, niek dwa tysiące — cy moje ocy, moje ręce, moje zycie, moja władza nie warce telo? A choćby sto tysięcy, choć milion — cy me kto pytał, cy mam wolom cy ni, sprzedać za dudki zycie? Kieby jesce zycie! Kieby me hań potargało na strzępy! Ale tak? Ktoz ja teraz jestem? Wieprzek, co go zamknom z korytem do ciemnego chlewu? Co sie we mnie ostało? Ino to, co wiem, zek zywy, co ozmyślujem — ale nie zycyłbyk takiego ozmyślowania nikomu! Miłosierdzie ta, miłosierdzie! Za telom iścizne za wielga lichwa. Kiebyk zydowi sie sprzedał całke do niewoli, ostawiłby mi przecie ręce i ocy. Niekze wam kto zwypaluje ocy, a pote ucyni choć Ojcem świętym? Nie wolelibyście ostać wikariem, jako jesteście? I cóż to ta za gazdostwo takie pomirwione! Zą ço me pokarali? — Za co me nagrodzili?

Kiejek był lepsy — kiejek sie stał gorsy? Telok grzesył z ocami, co i przez ocy — bez cóz, skoro ocy wypaliło, przysła nagroda? Dyć, kiebyk sam ze siebie, z własnej chuci, ocy zwypalował na ofiare, o dudki byk nie pytał — niekze me w te nagradzajom! Alek ja ani sie nie spodział, co moje ocy i ręce som potrzebne na zapłate za bryje dla dziecisków! A wy myślicie, co taka bryja za tatowe ocy smacna? Spytajcie mojej baby, jako to smakuje, kie płacki się w miske lejom — spytajcie, cy to dobra omasta!

Jędrek urwał, płacz go zdusił za gardło i trząsł pochylonymi plecami. Wypuścił on strzałę, która leżała na napiętej cięciwie jego boleści, wypluł gniew i poddał się żalowi.

Dobry ksiądz wikary milczał również, zgnębiony gorzką boleścią, przybity prostą logiką tego, co usłyszał. Przyszedł on ze szczerą chęcią spełnienia swego obowiązku, przyniósł z sobą zapas zwykłych i zawsze, jak mu się zdawało, skutecznych lekarstw na ból ludzkiej duszy, lecz nie mógł utrzymać się ponad tą boleścią i został sam porwany jej gwałtownym prądem — zamiast spełniać obowiązek, zaczął współczuwać i cierpieć.

. . . .

— Witajcie Jędrzeju!

— Dziękujem, witajcie — odpowiedział Jędrek marszcząc czoło i nadstawiając uszu, żeby rozpoznać po głosie, kto doń mówił. — Nie mogem przyznać sie, ktoście wy? Wybacciez...

— Zje ba Haza! Jamróz, nie bacycie?

— Haza! Haza! Witajciez, witajciez! Siednijcie tyz ta na kwile, co byśmy ugwarzyli kielo telo,

Haza siadł, nabił fajczysko sobie, pomógł Jędrkowi zryktować fajkę — zapalili.

— No i cóz ta tak ozmyślujecie haw w polu?

— Zje ta ozmyślujem i ozmyślujem. I tak wam powiem: cym dłuzej człowiek zyje, tym więcej ma takik myśli, co ik nikomu nie moze pedzieć. Moze ta nie nikomu, przecie nie kazdemu z kraju. Z wami rad ugwarzem, bo przecie wiem, coście człek nie głupi i mozecie sytko se pozbierać do głowy. A zaś som takie znów myśli, cobyk kciał, coby ino samo to syćka myśleli.

Zaczęli gwarzyć o tym, co Jędrka najbardziej obchodziło i o czym każdy z nim gwarzył: o wypalonych oczach i dobrobycie, który mu to kalectwo przyniosło.

...Jędrek złapał nakoniec za nić swoich najdroższych myśli i mówił zapalczywie i radośnie.

— ...Nie! nie zrobi nic! nie zdole, ani prok! Kaby ino cały naród, ka jaki człek, od małego do wielgiego, cy spomiędzy chłopów, cy z bab, cy z panów, cy ta z rzędu, cy ziandary, cy zydy, cy miemce, a choć ta i filance, kaby ino syćka wzieni się wraz, kazby ta nasła się siła, coby ik przewładała! Nie mówcie nic! Syćko to nic nie płaci: ani woda, ani ogień, ani pieron, ani wiater, ani chorość — syćko nic nie płaci proci tej siły. Wode wezmom w takie jazy, wiater w takie młyny, co bedom śnik, ino rzekomo, pachołki, pieronem bedom na ostatek fajki zapalować, o chorości ani by gwary nie było, kaby ludzie o sie stali, jeden o drugiego, a mieli rozum. Mówiem wam! Kaby ino sie miłowali, a mieli rozum. Zbacciez se na mnie: zwypalowało mnie ocy, potargało ręce, i bez cóz takie

sietniacysko wyzyło, bez co nie skapieli my syćka. Ino bez ludzkie miłosierdzie! Wikarii gadał: Bóg zwypalował ci ocy, bo cie miłuje, a nagodził ci nowom chałupe i krowe i dudki, bo ma na cie miłosierdzie. Ja myślem — mówił Jędrek ciszej — cok ocy ja zwypalował sam, bez własnom głupote, a miłosierdzie, lutość była w ludziak. Nic do tego nie ma Bóg i do syćkiego, co się tyce człowiecego zycia. Syćko, co ci trza, musis se człeku zdobyć sam, własnymi ręcami, własnym potem, mękom, pracom... a wse musis tego warować, a bić się, a biedzić, a łamać, coby ino jako przewładać wselinieco, co ci sie prociwi, co na cie nastaje. I któz ci w tym pomoze? Kto cie dźwignie, kieś upadł, kto ci zaorze, zasieje, kto zratuje? No kto? Bacciez se, jako se mnom było, bacciez! Kie dziś ozmyślujem, jakek zył, jakek pracował, jakek konał — cudujem sie! Anik by dziś nie uwierzył, kieby mnie kto ozpowiadał. I cok miał? Dy my byli ostatnie, napłońse dziady i byliby ostali wse takimi, i na ostatek chorość i głód wytłukłyby te dzieciska. I za to, co? Zwypalone ocy! Mas ci nagrode! Ktoz zratował? Ludzięta niebozęta! Mówiem wam, kaby ino wcas, kaby nie cekali jaze zwypalujom ocy — ani by my nie wiedzieli, cy... Jędrek zaczął mówić cicho, z najwyższym napięciem i skupieniem myśli. Haza zdjął okulary i patrzył surowo i mądrze w ślepe oczy Cajki. Na koniec rzekł:

— A kaz sie świat wzion?

— Ka sie wzion — to sie wzion! Co mi do tego? Cy bedem wiedzieć cy ni — od tego nie przybędzie mi nic. Ka sie wzion — to sie wzion, bacciez ino, jako na nim jest. Co mi ta płaci wiedzieć, kto mi cuhe usył — Jędrzejcek cy Słodycka? coby ino cuha była

dobra. Tak i ze świate. Ka sie wzion — to sie wzion, ryktujmy sie ino tak, coby na nim było dobrze!

Jędrka nic nie obchodziły pytania metafizyczne. Rzucił sie on w głębie myślenia tylko pod wpływem swego nieszczęścia, które mu oświeciło w sposób jaskrawy byt ludzki i jego stosunek do Boga. Zimny sceptycyzm Hazy i obojętna metafizyka spotkały się w nim z namiętnym uczuciem, które szło po najprostszej linii do ujęcia nie oderwanej idei, lecz krwawej i radosnej prawdy życia, wielkiej mądrości kierowniczej, jedynej siły mogącej wprowadzić ludzkość na drogę, wiodącą do ostatecznego celu wszystkich pragnień, trudów i walk — do szczęścia.

— A dusa? — spytał Haza.

— Dusa? Dy przecie, kie ludzie bedom zyć, jako wam mówiem, dy bedom jako święci! Kaz ma być dusa — kieś święty?

Haza wstał. Na jego mądrej, surowej twarzy jaśniała radość. Jędrek go jeszcze zatrzymał.

— Tak wam powiem: samemu Panu Bogu byłoby lekcej zyć, boby sie nie frasował o kazdom kluske — cy jom dać — cy ni. Dy wy se pomyślcie, co by to było! Ka sie obrócicie, świat jaze dygoce od miłości, od radości, od scęścia! I nik nie siedzi, jako ja haw, z wypalonymi ocami, z oberwanymi ręcami. I nik nię płace, nie jajce, nie banuje, nie pomstuje, nie bije się, nie klnie i nie boi się... Cy poźre na niebo, cy na ziem, cy na Tatry, cy na morze, nika ni ma strachu! Ludzie na świecie! — wołał Jędrek olśniony swoim widzeniem. — Coby ino nie mieskali, coby nie cekali, jaze ocy zwypalujom!

V

ZOŚKA GALICKA. (1907)

Syrek. Syćko dla famelii

— Juści sierota! Ale cy ty wies, co to je jest sierota? Ty se sama pozbieraj to do głowy: — kie ty ni mas famelii ani z wirchu, ani ze spodku, kie ni mas ojców ani dzieciów, kieś nie mama ani nie córka — cóz ty warces? Co? No — pedźmy tak, co nawysy telo co kot! A co warce kot, kie nad nim ni mas gazdy? Nic! Teloz by nie był! Tak i ty. Ani ty boskiego ozkazu wykonać nie mozes, bo kie ci przykazano ccić ojca, matke — a ty co? Jakoz ty spełnis boskie przykazanie, kie ik ni mas? A kie nie ccis ojca, matki — za mame, za tate jest ci gazda! Bo to sie nazywa jako przełozony, abo ten chlebodawca i ni mas dla cie innego prawa, ino gazdowski ozkaz, to juz ci ma być i za tate, i za mame, i za rzędy. A kie ci ojcowie zastępujom Pana Boga na ziemi, to i gazda dla cie ma być cysto, piknie jak Pan Bóg!

Zośka słuchała z wytężoną uwagą nie odrywając wylękłych i bezwzględnie ufnych i wierzących oczu z bladej, szaro-żółtej twarzy Sobka Pary. Słuchała i duszę jej ogarniało rozrzewnienie, jakaś żałość jak w czasie kazania i gotowa była płakać i boćkać po rękach

tego gazdę, który jej miał być za mamę, za tatę, za Boga.

Zośka sługowała już od dawna, od małości, od czasu, kiedy jej drobne ręce zdołały udźwignąć gieletę z mlekiem, rajtok z wodą, putnię z pomyjami, miotłę, motykę albo widły. Sługowała, ale nigdy jej nikt nie wyjaśnił ani jej stanowiska na świecie ani stosunku do ludzi, którym służyła, dla których pracowała i którzy ją żywili. Nie miała ona w sobie tych przymiotów, które są dla człowieka tym, czym macki dla owada, nie miała świadomego egoizmu, który przeciwstawiając się egoizmowi innych wykreśla granice wzajemnego stosunku i ustanawia poczucie osobistej odrębności. Nieświadomie też zatracała się w pracy dla innych i czuła się zupełnie wypłaconą tym, że żyła, że miała kraicek moskalicka, grule, kwaśnicę, czasem mleko i jaki taki przyodziewek. Nie znała wartości i ceny swego trudu, a tym samym nie mogła ocenić wartości tego, czym jej za ten trud płacono. Nie uświadamiając siebie nie była sobą i nie mogła nie tylko wiedzieć, ale nawet chcieć wiedzieć, kim jest dla innych, kim jest w hierarchii chłopskiego narodu. Szła przez życie nie pytając dokąd, spychana z jednej perci na drugą przez niemiłosierne zdarzenia, stosunki i ludzką wolę, której pobudek kierowniczych nie mogła przeznać.

. . . .

Syrkom nikt nie mógł zarzucić nic niezgodnego z prawem i obyczajem, ale nikt im nie ufał i wszyscy ich podejrzewali. Kiedy gdzieś w sąsiedztwie „spyrce sie gazda odmienił“, nikt nie złapał Syrków przy tej spyrce, a wszystkim się zdawało, że pachnie ona z ich

misek i garnków. Pazderność, choć tajona, wyzierała spod rodzinnej obłudy i biada temu, kto pożyczywszy na srogę lichwę dudki u Syrka w czas ich nie oddał. Nie pytał on czy ta jałóweczka ostatnia — czy nie, ani gdzie będą się sadzić na przyszły rok grule, jałóweczkę zagnał do swojej szopy, a zagon obsiał i zsypał grule do własnej piwnicy. Czujnie i cierpliwie czatował on na chałupy, w których pracowano na dzierżawców propinacji. „Kie juz widział ze cas", uprzedzając żydów zjawiał się i zgarniał wszystko puszczając pijaków na dziady.

— Dla pijaka ni mas litości — mawiał — niek skapie ka w polu, kie mu wódka milsa niźli famelia. Ja by tego jego majątku ani się nie tykał — ale niekcem do parafii zyda puscać — wiecie.

— Ale! puściłbyś ty zyda, kie ci dudki paknom — myśleli słuchający.

Zagarnąwszy czyjąś ziemię i dobytek, wzorowy ojciec i mąż miał sumienie spokojne, jak spokojne sumienie ma lis, ciągnący do nory skradzioną kaczkę.

— Dla famelii, wiecie. Nad fameliom ni mas na świecie prawa. Dy ja sam o to nie stojem. Beze mnie moglibyście ani lichwy, ani iścizny nie oddawać — ale, wiecie, famelia! Boski ozkaz!

Między szklanymi obrazami, stojącymi za listwą, w szczególnym poszanowaniu u Syrków była Święta rodzina, siedząca za stołem, na którym na misce leżały złote kluski i ryby. Syrek łypał też fałszywymi oczami na obraz, ile razy przed kimś wygłaszał swoje zasady o ważności i świętości rodziny.

Syrki nie trzymały pachołka i roboty dla Zośki

było u nich po gardło. Wzięła się ona do pracy z taką zawziętością i oddaniem, jak nigdy dotąd i u nikogo nie pracowała. Do jej zwykłego zatracenia się w pracy dla innych, zatracenia się bez świadomości granic wzajemnych usług, przybyła teraz podnieta świadomego obowiązku wobec gazdy, pojęcie swego stanowiska w hierarchii rodziny Syrków i uznanej zależności i uległości wobec gazdowskiej woli.

Syrki pracowały zawsze twardo, ale teraz najtwardziej pracowała Zośka. Sobkowa uczuła od pierwszych dni pobytu Zośki wielką ulgę w rękach i ze zdziwieniem uświadomiała, że miewa chwile wolnego czasu i że kawał płótna, który mogła wytkać w ciągu dnia, stał się o wiele dłuższy. Syrek przyglądał się Zośce pilnie, badał, zsuwał z własnych ramion trochę ciężaru na próbę i widząc, że go nigdy w niczym nie okłamała, ufał jej coraz bardziej i coraz więcej przyczyniał trudu i obowiązków. Całe staranie o Brzezule i Kwiatule, o Siwego, owce i wieprzaki spadło w końcu na Zośkę, jak i większa część robót w polu. Widziano ją zgiętą nad skibami z wiosną i w jesieni, widziano, jak nachylona twarzą do ziemi niosła w płachtach siano z polan, jak przeginając się tak, że zdawało się, iż złamie się we czworo, wydźwigała ogromne płaty nawozu z kupy na sanie, jak torowała drogę przez śnieg Siwemu i zrzucała gnój na małe kupki; w marcowym słońcu widziano jak szła za broną i skrudliła spiesznie i naremnie, jak gliwiejąc na październikowym wietrze, zacinającym białymi krupkami, kopała grule, jak korcowała rąbaniska i młaki, jak darła barłóg w lesie i niosła brzemiona cetyny. Dopóki tyl-

ko było co robić w polu, na niwie Syrków widać było wątłą i chudą Zośkę, miotającą się w zapamiętałej pracy. A gdy zeszła z pola, pracowała na oborze, w chałupie i szopie. Odkidowała gnój, siekała cetynę, rąbała drzewo, stawała do cepa, kręciła koło sieczkarni, łatała przyodziewek, pletła rękawice. Zośka umiała wszystko zrobić — bo wszystko zrobić chciała.

. . . .

Miała też Zośka u Syrków kogoś, do którego zwracała się z bezwzględną, dziecinną ufnością, kto znał wszystkie jej myśli, wszystkie drgnienia uczuć, który krzepił ją w chwilach znużenia, chwilach nie wiadomo skąd spadającego na nią smutku w długie, mroczne wieczory jesieni i ciężkie noce zimowe. Był to szklany obraz Pana Jezusa, stojący wśród innych za listwą. Zośka nie widziała całej potworności wystraszonych, okrągłych oczu, brwi dźwigniętych na czoło, nosa zakręconego rudą linią farby — był to Pan Jezus, to wystarczało. Syrki nieraz łapały Zośkę, wpatrzoną weń i szepczącą modlitwę, modlitwę nieuczoną, lecz będącą strasznym, namiętnym, głębokim westchnieniem bezdennej, bezbrzeżnej tęsknoty.

Jeżeli lud w ogóle oddziela Pana Boga od Pana Jezusa, ku któremu ma więcej zaufania, to dla Zośki pojęcia te rozłamały się całkowicie i nie dawały się stopić w jedno żadnym wysiłkiem myśli.

Pan Bóg identyfikował się z gazdą. Zośka od czasu pierwszej przemowy Syrka o znaczeniu gazdy nie mogła już sobie Pana Boga inaczej wyobrazić i stosunek jej duszy do niego był taki — jak do Syrka. Ale Pan Jezus nic jej nie ozkazował, nic nie żądał —

z krzyża swego męczeństwa wyciągał ku niej miłosierną rękę i Zośka z pewnym przerażeniem odczuwała w sobie jakąś bliskość, wspólność, nie określoną jasno w myślach, nie ujętą w słowa jedność, która na chwilę wznosiła ją wysoko, ponad świat, zamknięty w obrębie rodziny Syrków. Ten stan duszy trwał chwilę, i Zośka pragnęła go i bała się, ponieważ gazdę miała „cysto, piknie za Boga“, czuła się jego bezwzględną własnością i wierzyła, że wszystkie jej myśli należą tylko do niego.

Syrek nie przestawał też utrzymywać Zośki w czci dla famelii i przy każdej sposobności bezwiedne jej oddanie się formułował w zasadę i pętał duszę jej coraz silniejszymi węzłami z bytem tej famelii, w której Zośka w końcu roztopiła się bez śladu swojej odrębności. Nie miała już ani swojej woli ani chęci. Wdrożona w fatalistycznie niezmienny porządek kolejnych robót, szła od jednej do drugiej, nałogowo, automatycznie i wychodziła z tych kolein tylko wyrwana rozkazem gazdy, który pochłonął całkowicie jej wolę, wyssał jej duszę, jak pająk wysysa życie z muchy, wplątanej w jego sieci. Stała się w końcu podobną do jakiejś doskonałej wprawdzie maszyny, którą wprawiały w ruch tylko wola i rozum Syrka.

W szóstym roku służby Zośki Syrek był już tak pewnym jej bezwzględnego, niewolniczego oddania się, że postanowił użyć ją do spełnienia czynu, który mógł być rozstrzygającym w życiu famelii.

Niedaleko od Syrków, nad potokiem, stała stara, otoczona gajami, szopą i pasieką chałupa, w której siedział Jochym Styrcula. Sam stary, a przy nim niemło-

da już córka wołowata i trochę karapetniaczka. Styrcula nie był bardzo hruby gazda, ale siedział na gazdostwie po ojcach i nie będąc chciwcem ani skąpcem miał „maturę do dudka“, który też rad się pchał do jego skrzyni. Styrcula nie przykupował ziemi, więc wszyscy wiedzieli, że bez dudka nie będzie.

W przeciwieństwie do Syrka, który krył swoją pazderność pod cnotą obowiązków rodzinnych, Styrcula mówił otwarcie: — Ja ta dudek za dudek mam i rad go widzem, choć go nie potrzebujem. — Zwłaszcza wobec Syrka Styrcula, chłop mądry i sprytny, lubił mówić o swojej chciwości i o tym, jak mu się dudki same do garści sują. Śmiał się przy tym bystrymi oczami widząc, jak Syrek się mieni, nie mając gdzie wrazić swojej cnoty rodzinnej i nie mogąc zataić zawistnej chciwości, która migotała w jego mrużących się oczach. — Bees ty widział! — myślał też Syrek mściwie i łakomie.

Syrek w pierwszych latach ozwijania się majątku za każdy zwyszony krajcarz kupował ziemię. Tam zagon, tam młaczkę, ówdzie brzeżek albo skrawek lasu — urósł też w ziemię, ale dudka nie miał tyle, ile pragnął, a chciwość i żądza posiadania rozrastały się w nim do manii, ogarniającej doszczętnie wszystkie władze duszy.

Postanowił też ukraść po prostu pieniądze Styrculi. Parła go ku temu chciwość i mściwa zawiść.

Najciężej było wypatrzeć, gdzie Styrcula chowa te swoje dudki. W czasie wielkich deszczów, kiedy wezbrany potok niosąc kupy piargu i żabic szumiał tak, że nic prócz tego szumu nie było słychać, lub kie-

dy wiatr halny ryczał w gajach nad chałupą Styrculi, Sobek, pewny, że nikt go nie posłyszy, wieszał się na mroku u okien i śledził bacznie. Nieraz też skradał się cicho i wchodził nagle do izby, czynił to zwykle po jarmarku, w nadziei, że zdybie Styrculę, chowającego dudki wzięte za grule, owies lub jagnięta. Zaczął też zręcznie i przebiegle badać wolowatą i w końcu wiedział, co mu trza było: — pieniądze schowane były w czarnej izbie, na sosrębie ponad drzwiami...

Kto miał kraść, nie było wątpliwości — Zośka.

Syrek był bezwzględnie pewnym, że Zośka rozkaz gazdy spełni, jednakże dla umocnienia jej w oddaniu się zasadzie rodzinnej, dowodził przed nią, po swojemu, konieczność spełnienia tego czynu i spełnienia przez nią.

...Dudki dla mnie nie płacom nic — mówił dalej. — Były cy nie były, mnie ta do nik nic. Ani ja nie pijem ani nie prawocem się — na cóz mi dudki! Ale famelia! Dla famelii syćko mas zrobić. Teraz dzieciska doganiajom, hnet to — hnet owo, samyk portek kielo trza! A Maryna hnet bedzie się wydawać. Famelia coraz to się ozwija, a dudka nie przybywa nic. Kaz go bedem brać? Styrcula kaz bedzie pchał te dudki? W te wolowatom? To ino takim psim pukem wyńdzie. Ani z tego hasnu dla nijakiej famelii — bo ktoz takom wolowatom, przepytujem, świnie bedzie brać! Ty, Zośka, kie ci juz Pan Bóg ten honór nagodził, coś w famelii gazdowskiej jako to własne dziecko, to juz musis Panu Bogu za to odsłuzyć i o te fameliom do ostatniego dychu stać. Na ostatek, kie ci sie pomyli —

cóż ci bedzie? Stratna nie bees, bo cy ty haw na służbie, cy hań — telo ci płaci! Famelii, niby tej własnej, ni mas — a majątku tez, choćbyś z tela odbiegła, nie miałabyś za cym sie obeźreć. Więzienie? Tak ci powiem: co po jednemu człowiekowi, co się takim włókom przez famelii ostatnie, ni mas miejsca nad samo to więzienie! Zaś, kieś gazda, musis sie warować, cobyś tego honoru famelii nie pokalał i sam nie przepadł, bo famelia przez gazdy jak powała przez sosrębu — załamie się! Wies!

Syrek niepotrzebnie się wysilał. Zośka nie namyślając się poszłaby i bez jego dowodzeń po dudki Styrculi — wystarczyłby gazdowski ozkaz. Te dowodzenia, przeciwnie, poruszyły w niej pewną wątpliwość i tylko to, że gazdę miała „cysto, piknie za Boga“, powstrzymało ją od wahania, a może i od buntu.

Kiedy przyszedł czas, Zośka podeszła ku swemu Panu Jezusowi, westchnęła tak, że zdawało się, że jej biedna pierś pęknie, przeżegnała się i poszła.

— Pan Bóg ozkazał — Pan Jezus zratuje — myślała.

. . . .

Syrek drżącymi palcami przeliczał pieniądze Styrculi — było tego siedem stówek. Mało! Ale zawsze pieniądze, Syrek nie miał ani tyle. Złożone do kupy z tym co miał, przeniosłyby jednak za tysiąc. — Pieniądze! psia kość zatracona! — pomyślał i dał dwa dudki Zośce, która upuściła je, wyszła słaniając się z izby i padła bez duszy na boisku....

Syrek miał noc straszną. Biła się w nim i szarpała opętana radość ze żrącym niepokojem i śmiertel-

nym strachem. Teraz, kiedy Zośka spełniła wiernie najstraszniejszy rozkaz, jaki jej kiedy wydał, porywała go potworna niepewność: — Wyda go Zośka — czy nie? Syrek tarzał się w pościeli i czekał ranka jak wybawienia. Wstał, wyszedł w pole. Cisza głęboka zalegała świat, nad którym srebrzył się płowy blask wschodu. Chałupa Styrculów spała w ciszy jak wszystkie inne.

Syrek odetchnął, ale przebiegły jak nikt, pieniędzy skradzionych nie wyjął ze szmacięcia, w którym przyniosła je Zośka — wiedział co robi...

Do południa zeszło spokojnie. Kiedy jednak sięgali łyżkami do miski z kluską, na oborę Syrków wszedł żandarm. Ręką w białej rękawiczce przytrzymywał wiszący na ramieniu karabin, którego bagnet zapalał się i gasł jak błędny ognik nad jego głową, kogucie pióra na kapeluszu chwiały się odsłaniając błyszczący granat i mieniły się metalicznie w słońcu.

Syrek pewnym i spokojnym głosem rzekł do Zośki: — Wyźryj ze na obore, cego się to psie mieso hań snuje.

Zośka zeszła ze skrzyżali, leżących u progu, i szła spokojnie ku żandarmowi — kiedy stanęła tuż przy nim, spojrzał na nią przenikliwie i wziął mocno za rękę... Syrek tymczasem wartko podrzucił szmacie z pieniądzmi do sąsieczka ze święconym zielem, który stał przy Zośki barłogu w ciemnym kącie sieni.

Żandarm krótko opowiedział, po co przyszedł. Syrek miotał oczami na wszystkie strony, żeby się nie spotykać z wpitym w niego wzrokiem Zośki, która patrzyła nań tak, jakżeby w jej oczach były jakieś

ostrza, sięgające gdzieś do samego dna jego istoty. Miotał oczami i mówił: — włóka wiecie i włóka! Co ś niej miałoby być, kie to, wiecie, przez famelii nijakiej, ino taka nicpote — dziadula! Ja by takiemu gazdowi, na prok, despetu nie robił — a nie dopiero dudki kraść! A ta! Włóka, wiecie, i włóka! Żandarm kazał sobie pokazać rzeczy Zośki i trafiwszy zaraz z kraju na sąsieczek wytrząsł szmatkę, w której były pieniądze Styrculi. Syrek spojrzał na Zośkę i drgnął z przerażenia: usta jej się otwierały, w oczach, zwróconych do żandarma, widniało jasne postanowienie i ręka wznosiła się jak do przeczenia. — Syrek omal nie upadł. Ale Zośka spojrzała nań łagodnie i opuściła głowę.

Żandarm wyjął z torby kajdanki i kazał Zośce wyciągnąć ręce. Wyciągnęła te biedne, chude, stwardniałe i sczerniałe w pracy dla Syrków ręce, żandarm przyciągnął czysty, stalowy łańcuszek, który błyszczał na czarnych, wątłych rękach jak srebro.

— Chodź!

Zośka zajrzała przez otwarte drzwi na swego Pana Jezusa, straszny płacz chwycił ją za krtań i zalał oczy, że ledwo mogła trafić na próg...

Naśladowanie Chrystusa. Tak jako trza.

Syrek Zośki nie okłamał. Więzienie było „samo to“ miejsce dla niej, a po pewnym czasie wydawało się jej po prostu niebem.

Zośka, w której wszystkie uczucia były przystosowane do życia na najwyższym wirchu ludzkiego bytu, szła dotąd w nocy niewiadomości nie znając życia

takiego, jakim ono jest, i nie wiedząc, jakim ono być powinno. Jej pojęcia nie obejmowały jej uczuć, nie mogła ona z nich stworzyć idei kierowniczej dla życia i nie znała nawet wcale słów, którymi by mogła nazwać to, co było jej szczególnym sposobem odczuwania siebie i świata. Zamknięta w sobie jej dusza przejawiała tyle tylko swojej woli, ile jej potrzeba było dla podjęcia i spełnienia potwornej lecz radośnej pracy. Że praca ta szła wyłącznie na pożytek innych, Zośka o tym nie myślała, bo nie mogła o tym wiedzieć nie przeciwstawiając nigdy swego ja odrębnego — innym ludziom. Inni, odrębni dla niej, nie istnieli, zatracała się ona w ich życiu, żądzach, sprawach, potrzebach, nie ujmując tego w żadną zasadę, nie motywując żadnym rozumowaniem. Tak było — i dobrze, że tak było.

. . . .

Teraz stał się w niej potworny przewrót. Czyn Syrka wdarł się jak piorun w jej duszę, rozproszył noc niewiadomości i zalał świat blaskiem, w którym „famelia" wydała się marną garścią śmiecia. Dusza Zośki była dotąd jak ocieniona mrocznym lasem ziemia, w której leżą nasiona cudnych kwiatów, nie mogących kiełkować w mroku — przyszła burza, zwaliła czarny, porosły szarymi kołtunami i hubami las i z odsłoniętej ziemi porwała się ku słońcu potężna, błyszcząca młodością, skrząca się barwą gęstwa liści i kwiatów.

Zośka ujrzała ponad Syrkami — ludzkość, ponad ich interesem — miłość i w błyskawicznej chwili męczeńskiej myśli zobaczyła wartość swojej duszy, bezwzględną wartość dla wszystkich i dla wszystkiego tego, co ona oddawała nieświadomie, nie wiedząc co to

jest warte, Syrkom i wszystkim innym ludziom, którym służyła.

Ostatnim jej wspomnieniem ze świata byli Syrek, Styrcula i żandarm. Podły strach Syrka, nikczemne obelgi, które rzucał na nią, na nią, która szła za niego na mękę, przeciwstawiały się Styrculi, który okradziony, skrzywdzony przez nią, prosił żandarma, żeby ją puścił — w końcu żandarm, ciemny i ślepy, który ją, niewinną, wiódł do kryminału, do hareśtu, i mówił, że tak trzeba, żeby na świecie była sprawiedliwość. Zośka przemyślała nad tym wszystkim i, kiedy stanęła na progu wiśnickiego więzienia, była sobą, wiedziała, że jest Zośką Galicką, i przeciwstawiała się życiu swymi szczególnymi przymiotami, które ujmowała teraz w kierownicze zasady ludzkiego bytu.

I nie była sama. Szedł z nią Pan Jezus, którego obecność czuła z zupełną pewnością i oczami, pełnymi łez rozrzewnienia, obzierała się za nim.

Zośka weszła do więzienia z cudnym złudzeniem, które ją uczyniły jakby promieniem światła dla tych ciemnic.

Za każdym więźniem widziała ona gazdę, przez którego więzień cierpiał. Sama zataiła bezwzględnie czyn Syrka i myślała, że wszyscy inni się tają, że ci wszyscy mordercy, podpalacze, dusiciele dzieci, złodzieje, gwałciciele, że wszyscy oni są tu przez jakiegoś gazdę, który ich posłał na spełnienie złego czynu.

I Zośka mało się myliła. Nad wszystkimi nimi stał straszny gazda, za którego cierpieli — stało życie, potworne życie ludzkie....

. . . .

W więzieniu Zośka pierwszy raz w życiu poczuła się zupełnie swobodną. Nie było nad nią gazdy. Mury, zamki, rygle, kraty i straże więziły z niej to, co nie szukało żadnej swobody. Nie potrzebowała ona nigdzie iść, nie obzierała się za niczym przestępując bramę więzienia. Natomiast jej poryw ku ludziom, jej chęć trudu dla nich, żądza samooddania się — nurzały się w tym świecie bezdennej nędzy jak w bezbrzeżnym oceanie, otwartym do niezmierzonych, niedostrzegalnych granic.

Dotąd myślała tylko o ośmiorgu Syrkach, raczej o ich gżulach, krowach, wieprzkach, ich dobytku i interesach i dawała się całkowicie pochłaniać tej jednej famelii Syrków. Teraz miała przed sobą setki nazwisk, setki różnych ludzi, istnień, losów — ludzi, którzy nie stanowili „famelii", i nie mieli ani roli, ani statku, ani żadnych dobytków i interesów, a którzy mieli wszyscy jakżeby straszne przepaście w sobie, przepaście, które wołały głosem bólu i skargi do Zośki. Zbliżyła się ona teraz do ludzi tak bezpośrednio, że ujrzała ich dusze nagie, odarte ze wszystkiego, co je w życiu poza więzieniem dzieli. Z nudów i rozpaczy wyrzucali oni z siebie wszystko, co w nich się tailo, kiedy byli na swobodzie, tailo przez strach, hipokryzję, fałsz, obłudę, wstyd. Teraz cynizm i naiwność wyswobadzały wszystkie myśli, wszelkie uczucia. Próżność, samochwalstwo i konieczność twórczej roboty wyobraźni pobudzały do zwierzeń, do opowiadań, w których miara wypadków przekraczała rzeczywistość i tym silniej działała na umysł Zośki.

Świat więzienny stanowił ogromny ustrój o mnó-

stwie szczebli, na których od dyrektora do więźnia, siedzącego za burdy w karcerze, stali ludzie tak podobni do siebie w głębi, choć tak różni po wierzchu i którzy wszyscy czegoś potrzebowali, którym tyle brakło, i którym Zośka chciała i często mogła służyć i pomóc. Wkrótce też więzienie pełne było Zośki Galicki. Służyła ona wszystkim, pracowała wszędzie, gdzie tylko było można. Zaufanie i życzliwość otaczały biedną Zośkę, odnalazła ona swoją duszę, wróciła jej wola i obudziła się świadoma celu chęć czynu. Od świtu szła ona do roboty. Prała, szyła, zamiatała, czyściła cele, korytarze, kloaki, warzyła w kuchni, myła kotły, pleła i okopywała w ogrodzie, a nade wszystko nie opuszczała nikogo potrzebującego jakiejkolwiek bezpośredniej pomocy, od dźwignięcia z pościeli do współczucia, pociechy, dobrego słowa. Nie było też lepszej posługaczki w więziennym szpitalu.

Chodziła ona po tym mrocznym świecie jakby w zorzy bezwzględnego, radosnego oddania się ludziom, które ją opromieniało szczęściem. Kiedy na twarzach innych więźniów występowała szara powłoka nudy, z oczu wyzierało ohydne, pełne strachu zwątpienie, sieć ponurych zmarszczek rozpościerała na twarzach mrok starczy — Zośka zdawała się wypoczywać, młoda świeżość wracała na jej twarz steraną, a z owczych oczu jaśniała poświata radości.

Jedno tylko było tam straszne: — szable i bagnety.

— Prosem ik piknie — pytała raz Zośka strażnika — na co pan nosom teli nóz okrutny wse przy sobie?

— Ta, jakby, panie, kto uciekał albo się bunto-

wał, przecie muszę mieć czym takiego nastraszyć albo ukarać. W przeszłym roku my dwóch musieli porąbać.

W Zośce coś jękło. Tu jeden człowiek siedzi za kratą za to, że kogoś zabił, a drugi chodzi z nożem i patrzy, kogo by miał zabić! I nikt mu się nie sprzeciwia, i w biały dzień migają w słońcu na końcach „gwerów“ wielkie, szerokie, ostre noże....

— Raty! raty! — myślała Zośka — kiez sie Pan Jezus zlutuje nad tym głupim narodem! — i przechodząc koło strażników boczyła się i przymykała oczy.

Między towarzyszkami Zośki była młoda kobieta, skazana za podpalenie — wołali ją Jantka. Zdawało się, że to, co popełniła, wyżarło z niej wszystkie siły i zniszczyło możność życia. Słaniała się z osłabienia, a na bladą jej twarz padał mrok ciężkiego zmęczenia i beznadziejnego smutku, który patrzał z jej oczu. Kobieta miała rodzić i Zośka nie odstępowała jej dniami i nocami. Kiedy w strasznych męczarniach urodziła dziewczynkę, czując, że umiera, prosiła Zośkę: — Moi drodzy! niekze jej bedzie za patronke Swięta Margorzętka, a wy bądźcie jako własna matka. Ja światu nie sądzona, hnet umrem, któz się nad dzieckiem zlutuje, kie nie wy. Moi drodzy!

Kobieta umarła. Zośka wzięła dziewczynkę do siebie, ochrzciła, jak chciała matka, i wołała ją: — Margośka.

Znowu w duszy Zośki zaszła zmiana. Dotąd, przez cały czas pobytu w więzieniu, Zośka ani razu nie pomyślała o tym, żeby z niego się wydostać, nie zapragnęła innego życia, nie westchnęła za światem, który był gdzieś poza murami i kratami. Z chwilą jednak,

w której poczuła małą Margośkę w swoich ramionach, przyszły jej na myśl kwiaty i słońce.

. . . .

Dziecko przetrwało zdrowo do wiosny i pewnego dnia Zośka, żegnana serdecznie, niosąc otuloną w darowane przyodziewki Margośkę i węzełek różnych rzeczy wyszła za bramę więzienia.

Był maj. Spóźniona wiosna wysypała naraz całe swoje bogactwa. Okwitły czeremchy, różowy obłok kwitnących jabłoni otulał wsie i dwory, na miedzach jaśniały w słońcu białe, samotne grusze. Młody kłos płowego żyta chwiał się miękką, jedwabną falą, z ciemnych zdziebeł pszenicy wytryskiwały jasne, silne płomyki kłosów. W łanach zbóż paliły się pąsowe maki i modra mgła bławatków zwijała się jak dym błękitny w przeźroczej, jasno-zielonej gęstwie. Łąki mieniły się smugami żółtych jaskrów, różowych goździków, liliowych dzwonków i gwiazdami białych rumianków. Zboża i trawy zdawały się płynąć, jak zielone fale zalewu, przez wzgórza i doliny. Drzewa stały w strasznej potędze młodego życia dźwigając na silnych ramionach, ciemne, pyszne korony wysoko, na jasny, przeczysty błękit nieba, z którego lała się łagodna światłość wiosennego słońca. Od pól, łąk, lasów, wód modrych płynęło powietrze, przepojone zapachem żywicy, balsamicznych topoli, młodych liści bukowych, kwitnących sadów, traw ściętych i wszystkich kwiatów, dyszących w łąkach i ogrodach. Skrzypiały w trawach derkacze, a spod słońca sypał się wesoły, srebrzysty, namiętny śpiew skowronków.

Zośka szła w zachwyceniu. Budząca się w niej tę-

sknota zerwała się teraz szalona, drżąca nadmiarem dławionego dotąd życia. Trzymała dziecko na ręku szczęśliwa, że je otula blask słońca, błękit nieba i cudowna poświata ziemi skrzącej się kwiatami. Szła i zdawało się jej, że dziś zaledwie przejrzała, że dotąd żyła w ciemnościach, w jakiejś piwnicy, do której nie przedostawał się nigdy promień słońca. Nie mogła przypomnieć sobie, czy kiedyś, przed więzieniem, widziała wiosnę.

Pierwszy raz w życiu żyła całą sobą. Czuła w sobie świeżą, niezmordowaną siłę, a w duszy niosła wielki, jasny, żywy spokój, zupełną pewność prawdy, zupełną zgodność swego czynu z uczuciem, świadomość swojej woli i celu życia, którym była Margośka, patrząca zdziwionymi i wesołymi oczkami, które się mrużyły od słonecznego blasku. Ponad wszystkim, co było dokoła i co było w Zośce świadome, unosiła się jeszcze jakaś tęsknota i nadzieja.

. . . .

Raz bawiąc się nad potokiem Margośka natrafiła na kupę kolorowego szkła potłuczonego. Dziecko przyniosło Zośce kawałek, na którym widniała połowa twarzy jakiegoś świętego. Zośka poszła za dzieckiem i w gąszczu olch, na odsypisku u brzegu potoka, znalazła całą moc potłuczonych obrazów. Zaczęła przebierać i między odłamkami ujrzała Pana Jezusa, niezupełnie takiego jak ten jej przed laty, ale podobnego. Zośka trzęsąc się od radośnego niepokoju przeszukała wszystkie okruchy szkła, złożyła prawie cały obraz i niosła do izbeczki. Nigdy w życiu, na żadnej procesji, nie szła ona z takim zachwytem pobożnym, nigdy bardziej

nie wzruszył ją widok cudownych relikwii lub Najświętszego Sakramentu. Izbeczka napełniła się teraz jakimś ciągle odczuwanym spokojem i blaskiem, a kwiaty, które zbierały z Margośką, błyszczały i więdły dokoła potłuczonego obrazka.

W dnie pracy, zwłaszcza w porze pracy w rzeźni, pomocą dla Zośki była stara Maciugowa. Przywiązała się ona do dziecka i śmiała się doń bezzębnymi, szerokimi ustami i wypłakanymi oczkami, które ginęły w promieniach niezliczonych, drobnych zmarszczek. Brała dziecko do siebie albo szła sama do szopy i spędzała tam dłudzie godziny w ciągłej wesołości i zabawie.

— Grzecne tez to grzecne, to wase dziecko! — mówiła, kiedy Zośka wracała od roboty. A Zośka śmiała się radośnie, wołała: — Nie moje! nie moje! — i porywała Margośkę na ręce.

Kiedy ktoś Zośkę pytał: — Jakoz te wase dzieci? — Zośka wołała: — nie moje! nie moje! — nie dlatego, żeby się bronić przed posądzeniami.

Zośka, z chwilą kiedy uświadomiła siebie, zrozumiała swoje uczucia, uznała je za najsłuszniejsze prawo życia, zaczęła jednocześnie tworzyć pewne pojęcia o całej tej sferze bytu, która była jej umysłowi dostępną. Pojęcia te były bardzo nieokreślone, były jak opar myśli, unoszący się nad morzem uczuć, były ledwie mglistym przeczuciem ścisłych wniosków. Nie mając w sobie ani źdźbła egoizmu odczuwała Zośka tym silniej, aż do bólu, jego kolce, oplątujące całe ludzkie istnienie, kolce, z których każdy wpijał się do krwi w życie wo-

łając: — *Moje!* Zośka potrącała się o ten splot stosunków ludzkich, ściągnięty pętami żądzy posiadania, żądzy własności i rozdzierany na chaos żrących się sił wrogich, przez to samo uczucie, którego krzykiem namiętnym, hasłem czynu, był wyraz: — *Mój!* Całe życie Syrków było jedną żądzą tego, co Zośka na próżno usiłowała ująć w jakieś określenie lub w jakąś nazwę właściwą, tylko wyobrażała, że Syrki wołają: — Moje! W historii życia wszystkich towarzyszy więzienia Zośka czytała czarnymi i krwawymi zgłoskami wypisane hasło: — Mój! — Ona przecie tak krwawo zapłaciła za to samo... A dookoła niej wszystko wrzało tą jedną żądzą, tą jedną myślą. Chłop bił babę, bo to *jego* baba: — Kieś ty *moja* baba, nie włóc sie po karcmach z niepilimi chłopami. — Baba wydrapywała oczy chłopu wrzeszcząc: — Mójś ty chłop! nie obzieraj się za niepilimi babami! — I ten sam chłop, i ta sama baba o tej swojej własności ani wiedzieli, ani pamiętali, ani o nią dbali, dopóki zawiść o to *Moje* nie otwarła im oczu, palących się nienasyconą żądzą posiadania. Rodzice prali dzieci, bo to ich dzieci: — Mojeś dziecko! skóre ci zedrem, a bees wiedział, kto twój tata! — I cała znana Zośce ludzkość kopyrtała się w bitkach, złościach, niepokojach, podstępach — dla tego jednego wyrazu: — Mój! A najbardziej raziło Zośkę to, że ludzie chcą siebie mieć w takim władaniu, trzymać tak w garści jak rzeczy lub dudki. Zośka, która przecie była do ostatka bezwzględną własnością Syrków, wiedziała, że nawet wtedy było w niej jeszcze coś, czego Syrek nie posiadł, co ona oddawała Panu Jezusowi, lub co zostawało w niej *niczyje*, wiedziała ona, że

człowieka żywego nie można mieć na własność, i myślała też sądząc po sobie i Syrkach, że i posiadanie, i należenie równie nisko może zrzucić człowieka. Nie chciała też ona, żeby dzieci były jej, nie chciała za nic czuć w nich własność, nie czuła również, żeby ona należała do dzieci. Czuła radość z tego, że z tymi dziećmi współżyje i chciała, żeby one taką samą radość odczuwały — to wszystko — i żeby kto inny mógł tym dzieciom dać to, co ona, cieszyłaby się i współdziałała bez zawiści o *swoje* prawo, o *swoje* miejsce. Traciła ona wiele radości, które mają ludzie dzisiejsi, ale oczyszczała życie z mnóstwa nędz i gruntowała swój stosunek do dzieci na najjaśniejszej podstawie bezinteresownego współczucia i radośnego oddania się, które nie mierzy swojej wartości ofiarą jakichś *własności*, zatraconych dla kochanego człowieka. Uczucia Zośki wyprzedzały dzisiejszą ludzkość, która nie zna wyższego symbolu uczucia nad wyraz: — *Mój*.

Zośka nie mogła też w sobie odnaleźć tego, co ludzie nazywają — dobry. Nie mogła ona tego dobrze ująć myślą, ale zdawało się jej, że ludzie dlatego znają ten wyraz, że czyniąc coś dla innych, muszą coś w sobie przewładać, przełamać — zmienić się jakoś, być dobrymi na to, żeby dać dudka dziadowi lub nie bić i nie kląć. Zośka nie miała nic do przełamywania w sobie, nie potrzebowała żadnego podniecenia afektu na to, żeby być taką jak była, nie czuła więc, że jest dobrą, że robi dobrze, była taką jak była, tak samo w powszedni dzień — jak w święto. Ta cała sfera uczuć i czynów, objętych mianem dobra, u niej nazywała się: — *Tak, jako trza.*



Stanisław Witkiewicz — Pogrzeb

Ludziom w ogóle, a zwłaszcza tym, którzy uczą religii, tym, którzy znają jej zasady i prawidła ich wypełnienia, zdaje się, że religia, taka jaka jest spisana w książkach, jest tą religią, która jest w życiu i że każdy religijny człowiek tak samo czuje i myśli. Podstawa nauki religii — dogmatyzm — prowadzi do takich wyobrażeń — ale jest to błąd zupełny. Żywa religia jest inna w każdym człowieku, który z tego chaosu, utrzymywanego w spójni bezwzględnością powagi, wybiera to, co mu jest potrzebne, co zdoła pojąć, a nade wszystko co może odczuwać. Religia też Zośki w swej najistotniejszej treści była zupełnie inną od religii, której ją wyuczono i która jednym urzędowym tytułem obejmuje miliony dusz, czujących każda po swojemu. Religię Zośki całkowicie wypełniał Chrystus, i to Chrystus, który oddawał wszystko i siebie i za to jeszcze cierpiał. Cała strona Jego siły, potęgi, Jego wszechmocnego panowania nad światem dla Zośki jakby nie istniała, nie mogła ona jej pogodzić z Jego ludzką słabością, nie mogła w nią po prostu wierzyć widząc Go na krzyżu i myśląc, że przecie, żeby mógł, toby ją zratował wtenczas, kiedy jej skuwano ręce... Nie żądała ona od Niego nic, nie chroniła się pod opiekę Jego mocy, nie pochlebiała Mu — jej religia była współżyciem i współczuciem — bardziej miłością niż czcią. — Biedacek! — myślała o nim i łzy strasznej, serdecznej miłości i litości zalewały jej duszę. Poza tym Zośka spełniała wszystkie przepisy, zachowywała wszystkie obrzędy, całą rutyniczną formę stosunku z Bogiem wkładając w to treść własną. Zośka nie mogłaby tego określić, nazwać, wypowiedzieć, ale czuła, że cała istotna

treść pobożności znika tam, gdzie się zaczyna kościelny urząd, gdzie się zaczyna to, co można zapłacić, wpisać w książkę lub wyczytać z książki. Patrząc na obrzędy zdawało się jej, że mszały, ornaty, kielichy, monstrancje, chorągwie coś robią, a ludzi żywych w tym nie ma, i nie ma nic „ ku Panu Jezusowi“. Czasem jej aż mroczyło się w głowie od tego wszystkiego i z tego zamętu wyłaniała się niejasna, nieśmiała myśl, że może: — Zbawienie, to ino to, cobyś zył — jako On zył. — Ale Zośka nie mogła tego ściśle ująć. W jej religii było odczuwanie tego świata, w którym żył Święty Franciszek i jego legedarni towarzysze i przeczuwanie tej ludzkości, która kiedyś przyjdzie, która będzie wszystko czynić „ z dobrej woli, z własnej chuci“, jak myślała Zośka.

Zośka nie mogła mieć takich pojęć, jak: państwo, społeczeństwo, jak nie słyszała nigdy takich wyrazów. Jedno i drugie trzymało ją w sieci swoich ustrojów, które Zośka odczuwała jako pewne, szczególne, osobne zdarzenia lub też nieruchome zapory, których jednak nie mogła ona ująć w jakiś przyczynowy związek ani w żadne ogólne pojęcie. Były to „rzędy“ i sądy, bieda jednych, bogactwo drugich, wójci, ziandary, wojaki, gazdowie i pachołki, którzy wszyscy byli w jakimś z kimś przeciwieństwie i Zośka w tych wszystkich sprzecznościach, powiązanych jak łańcuchem nie wiadomo jaką siłą, widziała jedno i myślała: — Raty! raty! Kiez sie Pan Jezus zlutuje nad tym głupim narodem! — Rzędy, sądy, ziandary — wiedziała ona dobrze, co to znaczy. Potworny bezsens tego, co się z nią stało, sprzeczność między tym, co było na-

prawdę w życiu, a tym, co im się zdawało, ten straszny nakład ludzkiej pracy, kłopotów, tryjontów, po to, żeby sprawy proste i małe rozstrzygać w sposób zawiły i to rozstrzygać bez żadnego sensu, okłamywać siebie i za swoje głupstwa karać naród.... — A pisujom lumera, a klnom, a warujom przy kasak, a cosi kęsi konajom, co, ani do głowy nie pozbierać i z tego syćkiego ino kłopot, ino tryjont — ino poruseństwo, a to przecie prosta rzec! — I Zośka myślała, jak łatwe i proste jest życie takie „jako trza“. — Kaby ino kcieli zyć jako trza! Ale te rzędy, sądy, to tak wygłupiom naród, co ani, ani. Ino sie kazdy obziera, co mu panowie ozkazom, a sam chodzi jak ta owca przez pasterza! Kiez sie Pan Jezus zlutuje nad tym głupim narodem!

Bardzo by też Zośka się scudowała, żeby jej kto powiedział, że „famelia“ jest fundamentem społecznego ustroju. Patrzała ona na życie rodzinne przez doświadczenie, które zrobiła u Syrków, a choć widziała, że nie wszystkie „famelie“ są takie, jednak wyostrzona i drażliwa jej uwaga wszędzie odnajdywała na dnie te same pierwiastki tego, co stanowi zewnętrzną spójnię rodziny. I właśnie cała ta strona prawa, „rzędu“, jak myślała Zośka, strona obyczaju i interesu wydawała się jej niepotrzebną albo nawet szkodliwą. Ona wiedziała, że istotną spójnię między ludźmi stanowi co innego... I życie co dzień ją w tym utwierdzało. Widziała, jak wśród „famelii“ zwykle zgodnych i cicho żyjących, przychodził czasem dzień, w którym porywał się jakżeby wiatr halny, jakiś zamęt, zrywało się piekło o byle co: o gnój roztrzęsiony, urwany postro-

nek, rozsypane plewy i wszyscy wtedy bili się, klęli i ciągle powoływali się na prawa rodziny, na obyczaj, na to wszystko, co Zośce tak jasno wykładał Syrek, i potem chodzili źli, ponurzy, brzydcy, warcząc na siebie obelgami. — Raty! raty! — myślała znów Zośka — kiez sie Pan Jezus zlutuje nad tym głupim narodem, kiez ten naród o nim se zbacy. Zdawało się jej nawet, że „Famelia“ zabija w ludziach to, co ich łączyło, co było w nich najlepsze, zabija istotną między nimi łączność i oddaje w niewolę majątku — interesu gazdowskiego.Patrzyła ze współczuciem i radością na chłopca i dziewczynkę, idących razem gdzieś w słońcu, i myślała, że potem „kie juz bedom we famelii“, będą się wadzić i kląć sobie, i bić się i z przerażeniem słyszała muzykę, śpiewy, wrzaski weselne, ze smutkiem patrzyła na różdżki, mieniące się na chomątach weselnych zaprzęgów...

Zośka była nieuczona i ciemna. Przyświecały jej tylko uczucia, będące istotą przyszłych, szczęśliwych dni ludzkości — która kiedyś przyjdzie. Ciemnota zamykała przed Zośką cały wspaniały świat umysłowego życia, ale nie przeszkadzała jej uczuciom utrzymywać się na szczycie człowieczeństwa. Zoska doskonale odczuwała całą jałowość, głupstwo, pustkę form ludzkiego współżycia, którym nie odpowiada istotna treść dusz ludzkich. Dzięki swojej ciemnocie nie mogła ona popełniać codziennego błędu ludzi *wyuczonych,* którzy fikcje form biorą za rzeczywistość, którzy wymawiają wyrazy: państwo, kościół, rodzina, i myślą, że ustroje te same przez się mają wartość, że one powinny istnieć, bądź co bądź, bez względu na

to, co się dzieje z ludźmi, ujętymi w ich więzy. Dla Zośki istotą wszystkiego był człowiek, który był taki — Jako trza. — Kaby ludzie byli, jako trza, całego tego tryjontu i kłopotu nie trza by było. Dy to plowy! — myślała o tym wszystkim, co z taką powagą, pracowitością i zawziętością ludzie spełniają „tam kansi w rzędach".

Zośka doszła w rozwoju swojej wewnętrzej istoty do tego punktu, który cała ludzkość musi przejść, żeby móc żyć wyższym życiem, tego punktu, poza którym dopiero jest możliwy człowiek przyszłości, oswobodzony z całego ciężaru walki z lichymi instynktami, nędznymi pojęciami, oswobodzony z tego lenistwa duszy, które przełamuje teraz tym, co nazywa cnotą. Dzisiejsza cnota musi się stać powszednim, pospolitym, nieuświadamianym stanem, żeby człowiek mógł być istotą wyższą ponad siebie, żeby mógł odrzuciwszy szczudła praw i obyczajów, pęta przykazań i obowiązków, żyć w zupełnej zgodzie z sobą, zupełnej swobodzie, w wspaniałej godności istoty niezależnej — odpowiedzialnej tylko sama przed sobą.

VI

BAGNO. (1903).

O ile powiększycie dusze...

Na trzęsawiskach nie można budować. Najdoskonalsza, najstaranniej obmyślana więźba konstrukcyjna nie powstrzyma od zachwiania się i upadku gmachu, którego podstawy nie wspierają się na nienaruszalnym pokładzie opoki lub na wpędzonych w miękką ziemię kilku warstwach pali. Kto, ufny w zwierzchnią skorupę zaschniętego bagna, próbuje na nim stawiać cokolwiekbądź, ten będzie widział albo gwałtowne runięcie swojej budowy albo powolne zatapianie się jej w czarnym trzęsawisku, zatapianie się, od którego nie wstrzymają żadne podpórki, czynione nad powierzchnią, które się będzie wlec dopóki przepaście błotne nie pochłoną wysiłku ludzkiego czynu i nie wyrównają się ponad nim w martwym bezruchu kałuży.

Nie inaczej się dzieje w świecie ludzkim. Grunt społeczny, stan dusz ludzkich stanowi o możności istnienia i trwałości urządzeń i instytucji. Przedsiębiorstwa i zakłady, których ustawy są najdoskonalej obmyślone, których cele sięgają daleko w przyszłość a zakres działania obejmuje najbardziej podstawowe zagadnienia bytu, stają się nieużytecznymi, nawet szko-

dliwymi narzędziami w rękach ludzi, pozbawionych odpowiednich umysłowych i społecznych przymiotów. Siła społeczeństwa, jak siła państwa, nie zależy od przedziwnych kombinacji i szacherek przebiegłych polityków, tylko od ilości i jakości składających je jednostek. Jest to prawda, która staje się coraz powszechniej uznawanym pewnikiem, prawem, którego działanie daje się sprawdzić we wszystkich objawach społecznego życia.

Jeśli kraj nasz od czasu do czasu wyrzeka na słabość i chwiejność swoich polityków w stosunku do państwa, jeżeli przedstawiciele nasi rzeczywiście nie wywierają proporcjonalnego do wielkości kraju i swojej liczby wpływu na bieg spraw politycznych, to w pierwszym rzędzie przyczyną tego jest właśnie stan kraju, stan społeczeństwa, które pomimo rzeczywistego i stałego postępu, dalekim jest jeszcze od tego, jakim być powinno. Wódz, który ma za sobą liczną i bitną armię, inaczej przemawia do nieprzyjaciela niż dowódca, prowadzący kupę maruderów o zajęczym sercu. Bohaterstwo małych garstek, zwyciężających lub ginących w szczytnym porywie chwilowego męstwa, jest tylko potwierdzeniem tego prawa. Rozstrzygającą więc siłą w życiu społeczeństwa jest wartość składających je obywateli. Jaki człowiek — takie społeczeństwo. Wielkie czy małe związki ludzkie — państwa czy gminy — istnieją i spełniają swoje zadanie cywilizacyjne zależnie od tego, jaki jest stan dusz składających je jednostek.

Wyobraźmy sobie, że każda z licznych gmin, które są zasadniczą, podstawową jednostką ustroju poli-

tycznego, są tym ogniwem, które bezpośrednio łączy życie jednostki z instytucjami państwowymi, wyobraźmy sobie, że się składa z obywateli rozwiniętych umysłowo, przejętych głęboko uspołecznieniem, stojących nade wszystko na możliwie wysokim poziomie etycznym, a będziemy mieli całość, która jak wewnątrz siebie będzie miała warunki lepszego bytu i stałego doskonalenia się, tak z drugiej strony będzie niezwalczoną zaporą przeciwko każdemu zewnętrznemu nieprzyjacielowi, będzie siłą, której bierne nawet zachowanie się wywierać będzie wpływ rozstrzygający na stosunki państwa, z którym jest związana. Nie będzie też trzęsawiskiem społecznym, pochłaniającym myśli i czyny ludzi lepszych i wyższych w bagnie egoistycznych interesów, żądz i namiętności.

Ludzie też, którzy przyszli do Zakopanego ze świadomością tej prawdy, wkładając w istnienie tej do niedawna głuchej, zapadłej, mało komu znanej gminy swoją myśl i pracę, przypuszczali, że na tym gruncie, w warunkach tak wyjątkowych, da się wytworzyć wyższy, doskonalszy typ ludzkich stosunków; że to, co stanowi nędzę i upodlenie wszystkich ludzkich skupień, jeżeli nie da się całkiem uniknąć, to przynajmniej nie przybierze tak groźnych form jak gdzieindziej; że tu da się utworzyć środowisko wyższych dążeń i form życia, promienięjące na resztę społeczeństwa.

Zakopane miało rzeczywiście wyjątkowe warunki po temu. Otacza je kraj tak cudowny; nie zniszczone olbrzymie bogactwo tego, co stanowi warunki zdrowego życia; — ocean czystego powietrza, nie wyczer-

pane źródła żywych wód górskich i ziemia czysta, nie przesiąknięta żadnymi miazmatami. Z drugiej strony ma ono doskonały materiał ludzki. Górale są jedną z najwyborniejszych odmian polskiej rasy. Lud to po prostu genialny, cudownie nadający się do cywilizacji... Otóż do tej doliny zakopiańskiej, otoczonej bajecznym światem Tatr, zamieszkałej przez lud o tak wysokich przymiotach, przyszli „goście", „panowie", ludzie z dolin, zwani niekiedy pogardliwie „ceprami", mający siebie za „wyższe klasy" społeczeństwa i naprawdę liczący w swoim tłumie to wszystko, co stanowi wyższą warstwę inteligencji i charakterów polskiego społeczeństwa. Zetknięcie się tych dwóch światów: pierwotnej, lecz mającej w sobie bardzo cenne pierwiastki kultury ludowej, i skomplikowanej, bardziej kosmopolitycznej, wyższej umysłowo i streszczającej w sobie całość dzisiejszych warunków istnienia ludzkości, kultury przybyszów, miało stanowić o losie Zakopanego, o tym, czym ono się stanie dla społeczeństwa, a co mu da społeczeństwo.

. . . .

Wracam do mego założenia: Na trzęsawiskach nie można budować, a na bagnach społecznej nędzy nie można stawiać trwałych podstaw narodowego bytu.

Jeżeli narody o potężnej organizacji państwowej narażają się na potworne klęski z chwilą, w której treść wewnętrzna społeczeństwa nie odpowiada skali, na jaką jest zakreślona działalność machiny państwowej, tym bardziej społeczeństwa takie jak nasze, społeczeństwa, dla których granicami Ojczyzny jest tylko wielkość dusz, jak mówi Mickiewicz, powinny o tym

pamiętać i w każdej chwili dbać o to, by ich treść społeczna była jak najdoskonalsza. To, co nazywamy świadomością narodową, jeżeli nie będzie spojone z wyższymi, lepszymi ideami, jeżeli będzie tylko fanatyzmem nienawiści, będzie miało samo w sobie zarodki zguby.

Ludzkość przeżywa teraz chwilę takiego obniżenia się poziomu zbiorowego życia, takiego wytrzeźwienia z idealizmu, to znaczy z wiary w lepszą przyszłość, takiego uznania dla każdej podłości, która ma siłę i powodzenie, że ludzie tylko lichsze strony swojej natury zaczynają uważać za rzeczywiste i potrzebne. To obniżenie się ideałów społecznych i narodowych widać i u nas. Tak jednak na zawsze nie będzie. Reakcja musi przyjść — reakcja już się zaczyna. Ruch etyczny budzi się wszędzie, na razie w postaci iskier tylko, ale z tych iskier powstanie pożoga, która wypali nowe drogi rozwoju ludzkości.

W tej chwili jednak życie społeczne robi nieraz wrażenie bezdennego bagna, z rozsianymi na nim z rzadka wysepkami, nie mającymi między sobą łączności. Dlatego też jednostka, wychodząca z tych warstw społecznych, które wskutek odwiecznych, do dziś trwających niesprawiedliwości ludzkiego bytu, są nizinami społecznego ustroju, nie widzi najczęściej innych celów prócz zdobywania dobrobytu i znaczenia takiego, jakiego używają tak zwane klasy wyższe. Jeżeli w danym społeczeństwie człowiek, który się przystosowuje do istniejącego w nim dominującego stanu rzeczy, który stara się wyrobić w sobie wszystkie przymioty zapewniające mu w danej sferze stosunków ma-

ksimum społecznych przywilejów, jeżeli człowiek ten musi się mijać z subtelniejszymi pojęciami etyki, to dlatego, że w tym społeczeństwie przeważają niższe dążenia i potrzeby. I jeżeli człowiek ten lub cała grupa ludzi idąc tą właśnie drogą nie natrafiła na bezwzględny opór, jeżeli im to właśnie zapewnia znaczenie i wybitne stanowisko, to wina tego spada na społeczeństwo, na poziom jego pojęć i ideałów, na fatalny splot nędznych stosunków, stanowiących sferę życia jednostki, na te hasła i cele, ku którym skierowują się dążenia mas.

Stan ten wynika stąd, że uspołecznienie stanowi najmniejszą, najostatniejszą część dzisiejszego systemu wychowawczego — a raczej nie stanowi żadnej. O zaszczepienie w dziecku wiary w dopływy Orinoko lub Zambezi staramy się z nadzwyczajnym nakładem pracy i środków, o danie w rękę tak zwanego chleba, to jest miski z pomyjami dobrobytu, troszczymy się bez wytchnienia, ale o wykształcenie dobrych instynktów, które są podstawą dobrych czynów, o zaszczepienie obywatelskiego ducha, poczucia i świadomości obowiązków społecznych i etycznych zasad, staramy się stosunkowo tak mało, że właściwie sumienie zaczyna zastępować policja! Pojęcie *prawości* gdzieś znika, pozostaje tylko pojęcie *prawa, kodeksu,* w którego ramach jak wiadomo może się ukryć olbrzymia moc antyspołecznych i antyetycznych czynów, dlatego też dobro społeczne i interes osobisty, płynące niekiedy jednym łożyskiem, najczęściej jednak są z sobą w niezgodzie, a na tym pokładzie tworzą się kałuże społecznego bagna.

Jeżeli chcemy wyjść z tego, to znaczy jeżeli chcemy istnieć, trzeba świadomość narodową złączyć nierozerwalnie z najwyższymi pojęciami etyki, trzeba podnieść cały poziom życia, trzeba każdą jednostkę przepoić wyższymi dążeniami i bezwzględnym oddaniem się dobru społecznemu, — „Rzeczypospolitej, która jest i powinna być wieczna i nieustająca."

VII

PRZEŁOM (1905)

Człowiek wolny jest bojownikiem

Każdy najeźdźca usiłuje zdobyte obszary państw uczynić bezwzględną i wieczystą swoją własnością. Zniszczywszy w zwycięskiej walce organizację sił państwowych pokonanego narodu, ostawiwszy swymi słupami granice jego ziem, dąży do ogarnięcia wszelkiego dobra, do wydarcia mu wszystkich środków istnienia, do zajęcia wszystkich dróg życia, do wyzyskania wszystkich źródeł bogactwa i siły twórczej na swoją korzyść. Lecz nawet strąciwszy podbity naród do znaczenia pariasów, uczyniwszy zeń upośledzoną kastę, skazaną na życie na najniższym poziomie społecznego ustroju, czuje, że jeszcze nie posiadł wszystkiego, że jeszcze w zniszczonym państwie, w ujarzmionym narodzie, w upośledzonym społeczeństwie, w skutym stadzie niewolników, jest coś, czego nie posiadł, jest siła nieujarzmiona, tajemnicza i zagadkowa moc, tkwiąca w duszach, która jest świadomością plemiennej odrębności, świadomością własnej cywilizacji, poczucia niesprawiedliwości i gwałtu, i konieczną nadzieją zrzucenia jarzma.

Moc tych pierwiastków psychicznych czyni z narodu podbitego i ujarzmionego siłę wulkaniczną, któ-

rą zdobywca ciągle czuje pod swoimi stopami, która go trzyma w wiecznym strachu, która czyni go w końcu niewolnikiem własnych niewolników skazując na ciągłą baczność, na ciągłe paczenie własnego istnienia i życia państwa przez przystosowanie jego ustroju do potrzeby wiecznej, stałej, koniecznej w każdej chwili walki z biernym nawet istnieniem podbitego narodu. Ta wieczna groźba, ta niepewność życia, to ciągłe odczuwanie, że wszędzie, w każdej chwili idzie za nim jak upiór czujna myśl milionów ludzi, przepojona nienawiścią, żądzą odwetu, czyhająca na każdą słabość, zrywająca się co chwila do buntu, nurtująca w cieniach tajemnicy swoją źrącą siłą rozkładu — to poczucie ciągłej zależności od kogoś, kto niby jest słaby a jednak jest ciągłą groźbą, to poczucie własnej nędzy pomimo całej potęgi doprowadza zwycięzcę, zdobywcę do tego obłędu, jakim był dotknięty Bismarck, jakim dotkniętych było tylu i jest dotąd polityków rosyjskich. Wszyscy też zdobywcy dążyli do zniszczenia całkowitego podbitego narodu — dawniej przez rzeź, dziś przez komisje kolonizacyjne, prawa wyjątkowe, przez wszystkie bezprawia i gwałty. Wyrznąć do nogi i wdeptać w krwawą ziemię ślady istnienia pokonanego wroga lub wydrzeć z jego duszy poczucie jego ja narodowego, spodlić lub zgubić tę duszę tak, żeby się zdała na łaskę i niełaskę — oto do czego dąży zwycięski zdobywca — i oto to pole, na którym rozstrzyga się ostateczny bój wszystkich ludów ujarzmionych.

Czyn ludzki jest wynikiem tego, jakim jest wewnętrzne *ja* człowieka — to ja, ta całość dążeń, prag-

nień, pobudek, myśli i uczuć — to wszystko słowem, co razem nazywamy duszą, jest istotną dźwignią życia, jest siłą twórczą, wybudowującą społeczeństwa i państwa, jest rozstrzygającym czynnikiem życia jednostki i życia zbiorowego. Sięgnąć do tego rdzenia ludzkiej istoty, wydrzeć zeń jego treść własną, zniszczyć i splugawić to wszystko, co stanowi elementarną siłę życia jednostki, zgasić w każdym poszczególnym człowieku to światło, wskazujące drogi przyszłości, jest to zabić i zniszczyć naród, jest to z pokonanych wrogów, z niewolników gryzących pęta, uczynić niewolników, którzy nie mogą odczuwać niewoli, nie mogą z niej się wydzierać, nie mogą być szkodliwymi, jest to zgermanizować lub zrusyfikować Polaków, Litwinów, Rusinów. Doprowadzić naród podbity do tego, żeby pozostał tylko rasą, tylko odmianą antropologiczną, wydrzeć mu jego duszę i ponad wszystkimi wyższymi potrzebami bytu postawić zagadnienia egoistycznych potrzeb, zużyć na nie całą energię życia, całą siłę czynu, nie pozostawiając nic z myśli i uczuć ani dla wspominania przeszłości ani do marzenia o przyszłości — oto ostateczny środek, za pomocą którego osiąga się cel, do którego dąży zaborca.

Idzie on do tego celu z dnia na dzień, z roku na rok coraz głębiej wdzierając się w życie narodu, coraz bliżej sięgając dna jego duszy, osaczając go w najniedostępniejszych głębiach jego uczuć i myśli, chwytając każde ich drgnienia, każde ich przebłyski, wypełniając życie w dzień i w noc tysiącem wielkich i małych przykrości, dotykających egoistycznych potrzeb jednostki, przykrości, które ta jednostka musi stale

uświadamiać jako karę za to, że *jeszcze jest Polakiem*, że jeszcze nie pozbyła się wszystkich swoich cech narodowych, że jeszcze mówi po polsku, że jeszcze może myśli po polsku, może jeszcze czuje po polsku. Cały mechanizm społeczno-narodowego życia jest objęty jednym wielkim hamulcem, wszystkie osie, tryby i koła pokrywa lepka, plugawa, cuchnąca ciecz niewoli i upodlenia, nią wypełniona jest ziemia, powietrze i życie ludzkie. Ludzie budzą się i zasypiają z poczuciem, że jest coś nieuniknionego, coś przemożnego, co kieruje ich czynami, że ich chęć i wola nie są rozstrzygającymi czynnikami ich życia, że ponad nimi jest wola rządu, która różnicując się coraz bardziej, w miarę tego jak bliżej dotyka skomplikowanego ustroju dzisiejszych społeczeństw, rozdrabnia się i w ostatnim swym ogniwie bezpośrednio dotykającym życia przedstawia się w formie jaskrawej jako najniższa kategoria policjantów, będących pięścią przemocy, a w formie tajnej jako szpiegostwo, które stara się podsłuchać i podpatrzeć najtajniejsze drgnienia dusz. Taki jest system pedagogiczny kształcenia niewolników...

...Rzecz oczywista, że istnienie podbitego narodu w tych warunkach zależne jest wyłącznie od tego, jaką jest każda jednostka. Naród podbity, pozbawiony organizacji państwowej działającej dla jego dobra, jeżeli chce istnieć, musi rozłożyć wszystkie obowiązki i prace, do których gdzieindziej wydziela się specjalne grupy pracowników, musi rozłożyć na wszystkie jednostki i walczyć wszędzie i zawsze, na każdym miejscu i w każdej chwili, musi systemowi przemocy

przeciwstawić jeszcze silniejszy system odporu, musi mieć nieznużoną czujność, niepokonaną odporność, niewyczerpaną przedsiębiorczość, nie wyczerpującą się energię, nie zniechęcającą się niczym chęć czynu, musi żyć i działać jak żołnierz oblężonej twierdzy, musi mieć nieustraszone męstwo, niepokonaną chęć zwycięstwa i nie przyćmioną jego nadzieję. Musi mieć przeświadczenie w nie dającą się zaprzeczyć sprawiedliwość swojej sprawy, prawość swojej walki, wiarę w swoje siły, nieustraszoność posuniętą do lekkomyślności, do zupełnej abnegacji i zapomnienia o sobie, podporządkowania wszystkich interesów jednostkowych pod najwyższy interes dobra powszechnego.

Takie tylko narody zrzucają z siebie niewolę, takie tylko w pochodzie ludzkości do wyższych i doskonalszych form bytu mogą wytrwać i przyjść choćby po wiekach do osiągnięcia niezależności: „Człowiek wolny jest bojownikiem"

Zaborca wychowuje niewolników — naród w niewoli musi wychowywać bohaterów.

Walkę tę w ostatniej instancji rozstrzyga wychowanie. Kto zwycięży w tym zakresie, ten zwycięży w historii.

PISMA STANISŁAWA WITKIEWICZA

Lato w Połądze. Wędrowiec 1885 Nr Nr 43, 44,45, i 46.

Album M. A. Gierymskich. Wędrowiec 1885 Nr 48.

Sztuka i krytyka u nas (1884 — 1890). Przedmowa ***. — *Krytyka:* Malarstwo i krytyka u nas. — *Sztuka:* Mickiewicz jako kolorysta. — „Największy“ obraz Matejki. — Wystawa sztuki w Krakowie: I. Szkoła krakowska. II. Portrety. III. Henryk Siemiradzki. Fryne. — Józef Chełmoński. Trwałe nieporozumienie. — Przegląd artystyczny: I. Obraz Brożika. II. Obraz Munkaczego. III. Piechowski, Matejko, Szymanowski. IV. Lesser, Brożik, Wertheimer. V. Obrazy Girona. — Wystawy konkursowe. — Na wystawę paryską. — Juliusz Kossak. — Stanisław Chlebowski. — Maniera. — Aleksander Gierymski. — Obrazy Brandta. — E. Meissonier. — Arnold Böcklin. — Krakowskie sądy. — Pomnik Mickiewicza. — Samobójstwo talentu. — Konkurs rzeźbiarski. *Polemika osobista:* Profesorowi Struvemu. — „W imię godności“ (?) — Z powodu konkursu rzeźbiarskiego. Str. XVI i 530. 8-ka. Warszawa *1891*. Nakł. T. Paprockiego i S-ki.

Na Przełęczy. Wrażenia i obrazy z Tatr. Z drzeworytami. Str. 254. Folio. Warszawa. *1891*. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Sztuka i krytyka u nas. (1884 — 1898). Wydanie III. Do wyd. I-ego dodane: Przedmowa** [1898]. — Impresponizm [1892]. — Jeszcze o krytyce (ks. M. Morawski i St. hr. Tarnowski) [1898]. — List do ścisłego Komitetu pomnika Mickiewicza [1895]. — Z wystawy sztuki w Berlinie 1891 r. — Styl zakopiański [1891 i 1898]. Str. XXXI i 708. 8-ka. Lwów *1899*. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, S. Sadowski, Poznań, A. Cybulski.

Sztuka i Życie. „Życie“, czasopismo ilustrowane, Nr 1. Str. 23 — 26. Kraków. *1900.*

Juliusz Kossak. Stron 211. Folio. 260 rysunków w tekście. 8 światłodruków. 6 facsimili kolorowych z akwarel. Portrety podług L. Wyczółkowskiego i S. Witkiewicza. Warszawa. *1900.* Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Policja a Sztuka. Odpowiedź na ankietę „Krytyki“ w sprawie skonfiskowania „Legend“ A. Niemojewskiego. „Krytyka“, miesięcznik, zesz. IV. Str. 275 — 280. Kraków. *1902.*

Bagno. Str. 80. 8-ka mała. Lwów. *1903.* Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, S. Sadowski. Druk W. L. Anczyca i S-ki w Krakowie.

Jacek Malczewski. Fragment z rękopisu, przeznaczonego do wydawnictwa „La Pologne contemporaine“ pt. „Sztuka Polska“ [1901]. „Krytyka“, miesięcznik, zesz. II. Str. 105 — 113. Kraków. *1903.*

Aleksander Gierymski. Str. 191. 8-ka. Lwów. *1903.* Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, S. Sadowski. Druk W. L. Anczyca i S-ki w Krakowie.

Dziwny człowiek. [Józef Siedlecki]. Z portretem Józefa Siedleckiego. Str. 114. 8-ka. Lwów. *1903.* Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, S. Sadowski. Druk W. L. Anczyca i S-ki w Krakowie.

Jan Matejko. Str. 73. 8-ka. Kraków. *1903.* Nakł. Tow. Bratniej Pomocy Uczniów Akad. Sztuk Pięknych. Skład główny: G. Gebethner i S-ka w Krakowie. Drukarnia Związkowa w Krakowie. Cały dochód z wydawnictwa przeznaczony na budowę pomnika Jana Matejki w Krakowie.

Styl zakopiański. Zeszyt I. Pokój jadalny. Str. 16. Folio. 26 tablic według rysunków: Stanisława Barabasza, Wojciecha Brzegi, Wiktora Gosienickiego, Stanisława Witkiewicza. Lwów. *1904.* Nakł. H. Altenberga. Warszawa. E. Wende i S-ka.

O pomnik Józefa Wybickiego. Str. 4. „Odrodzenie", miesięcznik zeszyt V. Lwów. *1904.*

Chrześciaństwo i Katechizm. O nauce religii w szkołach galicyjskich. Część I. „Reforma szkolna", kwartalnik, t. I. Str. 22 — 37. 8-ka. Kraków. *1904.*

Wezwanie. [W listopadzie 1905 r.]. Str. 1. Kraków. *1905.* Nakł. Stanisława Witkiewicza. Druk. W. L. Anczyca i S-ki.

Juliusz Kossak. Wyd. II., powiększone, bez ilustracyj. Str. 288. 8-ka. Lwów. *1906.* Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende. i S-ka.

Na przełęczy. Wrażenia i obrazy z Tatr. Wyd. II., powiększone, bez ilustracyj. 8-ka I. Po latach [1905]. II. Tatry w śniegu. [1886]. III. Na przełęczy. Str. 142 + 17 + 294. Lwów. *1906.* Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Z Tatr. Na umarcie [1891]. — Lew Tołstoj: Cem ludzie zyjom (tłum. z rosyjskiego) [1892 — 1907]. — Opowiadanie Sabały [1894]. — Ociec Nędza [1898]. — Wojtek Gandara [1901 i 1907]. — Kwiatki Świętego Franciszka (tłum. z włoskiego) [1904, 1905 i 1907]. — Jędrek Cajka [1907]. — Zośka Galicka [1907]. Str. 258. 8-ka. Lwów *1907*. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Rozdział IV z książki o Matejce. Str. 10. „Krytyka", miesięcznik, zeszyt VII — VIII. Kraków. *1908*.

Matejko. Str. 273. 8-ka duża. 275 ilustracji. Lwów. *1908*. Nakł. Tow. Nauczycieli Szkół wyższych, wydawnictwo „Nauka i Sztuka" pod red. Tadeusza Piniego (t. IX). Warszawa, E. Wende i S-ka Druk W. L. Anczyca i S-ki w Krakowie.

Tekst do reprodukcji, umieszczonych w wydawnictwie „Sztuka Polska": „Malarstwo". Lwów. *1909*. Folio. Nakł. H. Altenberga. Warszawa, skład w księgarni E. Wende i S-ka. Zeszyt I: Juliusz Kossak: Przeprawa rotmistrza pancernego przez Dniestr. Zeszyt IV: Józef Chełmoński: Na folwarku. Zeszyt VI: Wojciech Gerson: Kościół. Zeszyt VII: Aleksander Gierymski: Luwr. Zeszyt VII: Jacek Malczewski: W chacie. Zeszyt XI: Jan Matejko: Hołd pruski.

Styl zakopiański: Zeszyt II. Ciesielstwo (Dom). Str. 16. Folio. 20 tablic: Zygmunta Dobrowolskiego, Eugeniusza Wesołowskiego, Stanisława Witkiewicza. Lwów *1911*. Nakł. H. Altenberga.

Juliusz Kossak. Wyd. II, rozszerzone. Str. 214. 36×27. 260 rysunków w tekście, 8 intagliodruków, 6 facsimili kolorowych z akwarel. Portrety podług L. Wyczółkowskiego i St. Witkiewicza. Warszawa. *1912*. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Chrześcijaństwo i katechizm. O nauce religii w szkołach galicyjskich. Część II: „Reforma Szkolna", kwartalnik, t. II. Str. 3 — 27. 8-ka. Kraków. *1913*.

Matejko. Wyd. II-gie, powiększone. Str. 301. 25 × 17. 300 ilustracji. Lwów. *1912*. Nakł. Tow. Nauczycieli Szkół wyższych, wydawnictwo „Nauku i Sztuka" pod red. Tadeusza Piniego (t. IX). Skład główny w księgarni Gubrynowicza i Syna. Warszawa, Gebethner i Wolff. Druki W. L. Anczyca i S-ki w Krakowie.

Wyjątki z listów do siostry z Lovrany. „Wiadomości Polskie" Nr Nr 14, 15, 16, 24, 25, 43, 50. Cieszyn - Piotrków. *1914 — 1915*.

Wyjątki z listów do siostry. Sierpień 1914 — sierpień 1915 r. („Ostatnie słowa".) Str. 67. 8-ka. Piotrków. *1916*. Wydawnictwo „Wiadomości polskich".

Ostatnie słowa. (Przedruk) Piotrogród 1916.

Wallenrodyzm czy znikczemnienie. „Kultura Polski", miesięcznik, rok I zeszyt 6, czerwiec — lipiec 1917, Kraków, str. 267 — 288.

Chrześcijaństwo i katechizm. Str. 111. Książnica Polskiego Tow. Nauczycieli Szkół Wyższych. Lwów-Warszawa 1920.

Mickiewicz jako kolorysta. Wielka Biblioteka Nr. 39, str. 45. Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska.

Na przełęczy. Wielka Biblioteka Nr 107, str. 281. Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska.

Testament. Str. 64. Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej, Kraków 1922.

Myśli. Str. 68. Wyd. „Ignis“ 1923.

Spuścizna pośmiertna St. Witkiewicza — pozostająca dotąd w rękopisie:

Przełom (1905 — 1908)

Życie, etyka i rewolucja — red. I (1911 — 1912).

Życie, etyka i rewolucja — red. II (1913).

SPIS RZECZY.

str.

Wstęp 5

W OKOLU TATR.

Po latach 15
Przyroda tatrzańska 15
Zagadnienie ludu i hodowli człowieka 21
Styl zakopiański 28
Zima w Tatrach 32
Na przełęczy 44
Baca 44
Juhas 48
Wojtek Gandara 55
Tak byś pedzioł, co je głupi. Gandaryzm . . . 55
Ludzie są jednacy 66
Jędrek Cajka 74
Fukłol 74
Coby nie cekali, jaze ocy zwypalujom 79
Zośka Galicka 91
Syrek. Syćko dla famelii 91
Naśladowanie Chrystusa. Tak jako trza 101
Bagno 117
O ile powiększycie dusze 117

OSTATNIE SŁOWA.

Przełom 124
Człowiek wolny jest bojownikiem 124
Testament (wyjątki z listów do siostry) 129
Bibliografia pism St. Witkiewicza 129

7